

**FOTO.GRAF
MOWI
ZDJĘCIAMI**

KRZYSZTOF
SOKOŁÓW

FOTO.GRAF
MÓWI
ZDJĘCIAMI
KRZYSZTOF
SOKOŁÓW



ARCHIWA
PAŃSTWOWE

ARCHIWUM PAŃSTWOWE W KOSZALINIE

„Fotograf mówi zdjęciami. Krzysztof Sokołów” pod redakcją **Katarzyny Królczyk**

Zespół redakcyjny:

Dorota Cywińska, Robert Borucki,
Piotr Pawłowski, Krzysztof Sokołów, Anna Zbroszczyk

Korekta i redakcja:

Joanna Wyrzykowska

W publikacji wykorzystano materiały z zasobu Archiwum Państwowego w Koszalinie
(Archiwum fotograficzne Krzysztofa Sokołowa) oraz z prywatnych zbiorów Krzysztofa Sokołowa

Wydawca:

Archiwum Państwowe w Koszalinie
ul. Marii Skłodowskiej-Curie 2
75-803 Koszalin
www.koszalin.ap.gov.pl

Opracowanie graficzne, layout, skład:

VIDOQUE graphic design atelier
Mariusz Król
vidoque@vidoque.eu

Druk i oprawa:

Polimer s.c. Zakład Poligraficzny M. J. Malawscy
ul. Szczecińska 34/2
75-137 Koszalin

© Copyright by Archiwum Państwowe w Koszalinie

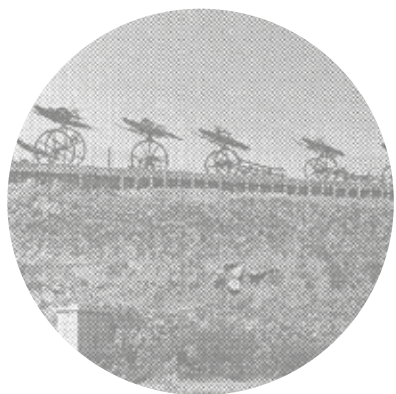
ISBN 978-83-61066-18-7

SPIS TREŚCI



- 5 SŁOWO WSTĘPNE
- 7 WSTĘP
Siła wspomnień i słabość do fotografowania
- 19 KOSZALIN
Zakaz fotografowania pod strażą dzielnicowego
- 135 FOTOGRAFIA
Tajemnica miliona zdjęć
- 179 GAZETY
Pięć bocianów w gnieździe
- 239 ZAKOŃCZENIE
Kandydat na kuratora muzeum rzeźby
- 279 BIOGRAMY
- 280 PODZIĘKOWANIA

SŁOWO WSTĘPNE



Mamy ogromną przyjemność przekazać w Państwa ręce książkę prezentującą niezwykle interesujące i bogate zbiory fotograficzne, które przechowywane są w zasobie Archiwum Państwowego w Koszalinie. Wydawnictwo „Fotograf mówi zdjęciami. Krzysztof Sokołów” ukazuje blisko 50-letni dorobek pracy koszalińskiego fotografa Krzysztofa Sokołowa, który współpracował z lokalnymi mediami, instytucjami kultury, przedsiębiorstwami i utrwał na fotografiach dziesiątki tysięcy ważnych wydarzeń, obiektów i osób z życia społeczno-kulturalnego naszego regionu.

W 2019 roku pan Krzysztof przekazał do zasobu koszalińskiego Archiwum Państwowego kilkanaście tysięcy zdjęć i negatywów, przedstawiających region koszaliński od lat 70. XX wieku aż do dziś. Dla nas – archiwistów – to prawdziwy skarb, ponieważ fotografie są wspaniałym uzupełnieniem dokumentacji aktowej, którą przechowujemy.

Niniejsza publikacja to przede wszystkim chęć pokazania historii Koszalina widzianego obiektywnym zdolnego fotografa i bystrego obserwatora – Krzysztofa Sokołowa. Stanowi ona również podziękowanie naszemu darczyńcy, który zdecydował się przekazać fascynujące zbiory fotograficzne do zasobu Archiwum Państwowego w Koszalinie.

W tym wyjątkowym albumie prezentujemy Państwu wybór kilkuset zdjęć przedstawiających Koszalin. Naszym pomysłem było, aby to wydawnictwo wizualnie nawiązywało do albumu o Koszalinie, wydanego w latach 80. XX w. przez Koszalińskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, do którego autorem fotografii był również Krzysztof Sokołów. Zdjęcia przeplatają się z niezwykle ciekawym wywiadem, który z fotografikiem przeprowadził koszaliński dziennikarz Piotr Pawłowski. Całość składa się na szczerą, dojrzałą i w wielu miejscach dowcipną opowieść o człowieku, którego zdjęcia w Koszalinie znajdują chyba wszyscy.

Mam nadzieję, że niniejszy album zabierze Państwa w sentymentalną podróż po Koszalinie, jaki jeszcze wielu z nas pamięta. Być może część z Państwa odnajdzie na zdjęciach siebie lub znajomych. Niech to wydawnictwo będzie również przykładem na to, że wszyscy tworzymy historię miasta, w którym żyjemy. To od nas w dużej mierze zależy, jakie świadectwo dokumentacyjne pozostawimy kolejnym pokoleniom. Dzięki temu, że Krzysztof Sokołów przez całe swoje zawodowe życie dbał i archiwizował wykonywane przez siebie zdjęcia – dziś możemy cieszyć się obrazami, które przywołują wspomnienia miejsc i ludzi, których już nie ma.

Katarzyna Królczyk
dyrektor Archiwum Państwowego
w Koszalinie

WSTĘP

Siła wspomnień i słabość do fotografowania



- Powiem ci, że nie nadaję się do tego.

Do czego?

- Do rozmowy.

Przecież rozmawiamy.

- Tak, ale myślę, że fotograf to ma niewiele do powiedzenia.

Istnieje teoria, że mówi się zdjęciami.

- Też tak uważam. Tak, zdjęciami. Początkowo chciałem, żeby w tej książce poszły same zdjęcia. Bez rozmowy.

A co zrobić, gdy praca fotografa jest tak samo interesująca, jak jego zdjęcia?

- Przestań (uśmiech). To są normalne sprawy człowieka, który fotografuje od lat. Znasz takich wielu.

Kiedy fotograf sięga do swojego archiwum?

- Najczęściej, gdy dostaje zlecenie na zdjęcie, którego już nie może wykonać, ale ma podobne gdzieś w swoich zasobach.

Czy to schemat działania po pytaniu: „Krzysiu, masz może gdzieś zdjęcie starego amfiteatru?”?

- Sekretarze redakcji mają mnóstwo tekstów bez zdjęć, bo wcześniej tego, co ma pójść do materiału, nikt nie zaplanował. Czas płynie, robi się nerwowo, bez ilustracji strona przypomina blachę, zaczyna się kombinowanie. Czasami kluczową w nim rolę odgrywa inwencja lub archiwum fotografa.

Jak było w przypadku twojego archiwum dla Archiwum Państwowego?

- Odchodząc z pracy w szkole, zresztą po to, żeby zaraz do niej wrócić, musiałem ogarnąć się: spakować i wszystko uporządkować. Okazało się przy tym, że mam sporo ciekawych zdjęć, o których istnieniu już zapomniałem. Wcześniej Mariusz Rodziewicz, kolega z „Głosu Koszalińskiego”, zapytał czy znajdę coś z dawnego Koszalina. Chciał to wrzucić do wydania online, czyli gk.24. Poszukałem, znalazłem, poszło. Klikalność była duża (uśmiech).

Bo ludzie lubią zdjęcia archiwalne.

– W archiwach fotograficznych jest duch przeszłości. Sprowadzamy do obrazu to, co podpowiada nam pamięć. Siła wspomnień. Wszystko porównujemy do rzeczy znanych i konfrontujemy z tym, co współczesne.

Jak trafiłeś do Archiwum Państwowego?

– Nie trafiłbym, gdyby nie Mariusz, który wcześniej współpracował z archiwum przy przekazywaniu pamiątek muzycznych. Pomyślałem, że to dobre miejsce dla zdjęć, może okazać się komuś do czegoś potrzebne. Podczas spotkania z Katarzyną Królczyk, dyrektor koszalińskiego Archiwum Państwowego, ustaliliśmy, co, jak i kiedy oddam. Po prawdzie, myślałem, że przyjdę z kartonami i dyskiem zewnętrznym, powiem parę słów, może wypijemy kawę i po krzyku.

Myślałeś, że ominą cię zdjęcia z przekazania?

– Tak! (uśmiech). A tu, człowieku, dziennikarze, kamery, podziękowania. Powiem ci, że nie nadaję się do tego.

Przecież pracujesz w tym środowisku od dziesięcioleci.

– Ale po drugiej stronie, a to ma duże znaczenie. Nie lubię zamieszania wokół siebie. Wolę stać z boku.

Doświadczeni fotografowie, zwłaszcza fotoreporterzy, jak ty, to banki informacji. Doświadczeni dziennikarze to wiedzą.

– Co z tego, powiedz? Czas płynie, wszystko się zaciera. Na pewno dużo rzeczy z tego, co widziałem, pozostało we mnie i siedzi. Nie wszystko sfotografowałem, nie wszystko przetrwało do dzisiaj. Resztę mam w pamięci. Tylko tak teraz zastanawiam się, kogo to może obchodzić?

Tak mówisz, ale ludzie chcieli oglądać zdjęcia dawnego Koszalina. Gdyby przy nich znalazły się twoje wrażenia z tamtych lat, klikalność byłaby jeszcze większa. W ten sposób wzmacnia się ta siła wspomnień.

– Być może masz rację i tak to działa. Siła wspomnienia lub – w przypadku młodych i młodszych – ciekawość świata, który nowe pokolenie zna tylko z opowieści starszych. U mnie ważne jest, że jestem koszalinianinem. Patrzę na te same miejsca od dziecka, znam tu każdy kąt, chociaż od wielu lat mieszkam w Świeszynie.

Dlaczego w Świeszynie?

– Przez przypadek. Wyprowadziliśmy się z Koszalina dla mieszkania. Po ślubie coś wynajmowaliśmy, ale nie mieliśmy szans na własne metry. Żona pojechała służbowo do Świeszyna i znalazła dla nas lokum nad przychodnią. Trochę je rozbudowaliśmy pod nasze potrzeby, a później przyzwyczailiśmy się do życia poza miastem. A urodziłem się tam, gdzie dzisiaj jest Dom Miłosierdzia.

Dobre miejsce na początek życia.

– Podobno przyszedłem na świat z pewnymi trudnościami i miałem mieć inaczej na imię. Janusza sobie zaplanowali moi rodzice. Szczęśliwie położna była z Wilna, a że mój tata też z Wilna, zresztą mama z Grodna, to wspólnie umyślili, że dostanę imię od Świętego Krzysztofa.

Krzysztof z Domu Miłosierdzia.

– Tak, na dzień dobry (uśmiech). Rodzice poznali się już tutaj, w Koszalinie. Mama trochę pracowała w kuchni, zresztą potem w wielu różnych miejscach, okresowo nawet równolegle, a ojciec gipsował ludzi w przychodni. Mieszkaliśmy przy Miłej, w bok od Mieszka I. Z Miłej pamiętam sąsiedztwo Płytołenu i potężne stogi lnu. Kiedyś nawet to wszystko stanęło w płomieniach. Wyprowadziliśmy się stamtąd, kiedy miałem sześć lat.

Dokąd?

– Na Konstytucji 3 Maja, czyli dawną Dzierżyńskiego. Na początku lat sześćdziesiątych chodziłem do „szóstki”, która w połowie zajmowała gmach liceum Stanisława Dubois. Po mniej więcej trzech latach „szóstka” przeniosła się do nowo powstałego budynku przy Mazurskiej, obecnej Gnieźnieńskiej. Obok był zakład karny, co dzisiaj niewiele osób pamięta. Przy zabezpieczonym drutem kolczastym płocie chodziłem do szkoły, a osadzeni zza tego płotu krzyczeli, żebyśmy kupili im herbatę, fajki. Na obrzeżach „trójkąta bermudzkiego” upłynęła cała moja młodość.

Jaki wtedy był Koszalin?

– Żałuję, że od dziecka nie robiłem zdjęć. Tam, gdzie PKS miał swoją bazę, było targowisko. Rolnicy przyjeżdżali wozami z całej okolicy. Kwitł handel: konie, świny, kury. Niemal naprzeciwko, gdzie dzisiaj stoi charakterystyczny betonowy klocek, był staw, a obok Romowie, czyli jak dawniej mówiliśmy – Cyganie, przygotowywali konie na sprzedaż. Pastowali je, czyścili, karmili, śpiewali im. Trochę nas gonili, ale nasza ciekawość świata

ta była silniejsza od zakazów. Tam, gdzie teraz są wieżowce przy Powstańców Wielkopolskich, były stawy, zimą zjeżdżaliśmy z pobliskiej górki. Poniżej stała kiszarnia kapusty i ogórków. Beczki z warzywami leżały w wodzie. Stawy wydawały się stworzone do jazdy na łyżwach, ale stamtąd też byliśmy przeganiani.

W 72. z rodzicami zamieszkałem przy Radogoszczańskiej. W bok od Powstańców.

– To wiesz, o czym mówię. Wtedy to była okolica peryferyjna, wszystko dopiero w planach. Raj dla dzieciaków. Po „szóstce” myślałem o liceum plastycznym, ale „plastyka” w Koszalinie jeszcze nie było, więc musiałbym pojechać do Gdańska, a chciałem zostać na miejscu. Zresztą moich rodziców nie byłoby stać na utrzymywanie syna w innym mieście. Wybór padł na „elektronik”.

Jakim byłeś dzieckiem?

– W miarę normalnym (uśmiech). Sport mnie nie interesował, życie towarzyskie nie pociągało, talentu nie odziedziczyłem. Fotografia przyszła sama, w dobrym momencie. Widocznie, jak powiedzieliby buddyści, tak miało być.

Kiedy pojawiła się w twoim życiu?

– Mam kuzyna od strony mamy z Grodzieńszczyzny. Czasami go odwiedzam. Nadal mieszka w Koszalinie, ma ponad 90 lat. Przyjechał na te ziemie na fali późniejszej repatriacji, wcześniej pracował w domu dziecka i miał kontakt z fotografią. Przywiózł aparaty, powiększalniki, w łazience postawił ciemnię. Podpierałem, co i jak robi.

Czyli to wszystko zaczęło się od końca?

– Tak mógłbym powiedzieć. W fotografii, poza samym wyborem tematu i robieniem zdjęć, najciekawszy jest moment, kiedy na papierze pojawia się obraz. Na tym polega magia fotografii.

Nauka samodzielna jest zawsze trudniejsza.

– Jak człowieka coś interesuje, łapie to w lot. Robiłem i wywoływałem zdjęcia. W domu była smiena. Ponieważ jeździliśmy na Białoruś do wujka, brata mamy, który jako jedyny tam pozostał, miałem okazję zaopatrzyć się sprzęt. Pamiętam zorki, były kiepy. Dokona-

łem aneksji kuchni, w której urządziłem sobie ciemnię. Za to wywoływanie zdjęć pomiędzy garnkami mama mnie przeklinała, ale rozumiała.

Co mówiła?

– Nie wiem czy mogę to powtarzać (uśmiech). Mama była, delikatnie to ujmując, sceptyczna wobec moich zainteresowań. Powtarzała cierpliwie: „Ucz się, z fotografii nie wyżyjesz”. Okazało się inaczej.

Moja mama mówiła, że nie utrzymam się z pisania.

– Mamy tak mają, warto kierować się instynktem. Dzisiaj żałuję, że nie udało mi się zachować wszystkich zdjęć z pierwszego okresu. Nie przypuszczałem, że mogą mieć w przyszłości jakąkolwiek wartość. Młodym fotografom szkoda czasu na tworzenie archiwów. Chcą po prostu robić zdjęcia.

Co sądzisz o tym, żeby do tej rozmowy dołączyć kilka naciąg twoich wcześniejszych lub charakterystycznych prac?

– Jestem za. Mam takie, które będą idealną ilustracją, a dodatkowo nigdy nie były publikowane.

Pamiętasz swoje pierwsze zdjęcia?

– Pamiętam dokładnie. Klasa szkolna, wycieczka, wyprawa rowerowa z kolegami do Mostowa. Fotografowałem to, co uznałem za ciekawe. Wszędzie, gdzie byłem, cykałem zdjęcia. Próbowałem robić przyrodę, co wciąż mnie najbardziej pociąga. Były to prace początkujące, do albumu domowego. Dopiero w szkole średniej fotografię zacząłem traktować poważnie.

Wybór, jak wspominałeś, padł na „elektronik”. Dlaczego?

– Myślałem o „plastyku”, nie wyszło, później o liceum ogólnokształcącym, ostatecznie wybrałem pięcioletnie Technikum Telekomunikacyjne, które dzisiaj jest Zespołem Szkół nr 9 imienia Romualda Traugutta. To był 70. rok. W szkole funkcjonowało kółko fotograficzne, które prowadził Marian Czurak. Mieliśmy ciemnię, jedyny kłopot polegał na zdobyciu materiałów fotograficznych.



Pochód 1-majowy | ul. 1 Maja
1974 r.

Polowałeś na słynne ORWO?

– ORWO to był poszukiwany rarytas. Robiliśmy na wszystkim, co było dostępne, bo nie mieliśmy wyboru. Dokumentowaliśmy wydarzenia szkolne, otoczenie i wszystkie wyjazdy, portretowaliśmy dziewczyny i nauczycieli. Nie było pomocy naukowych, ale poprzez praktykę nauczyłem się wtedy wielu cennych rzeczy. Trwało to mniej więcej do czwartej klasy.

Wtedy trafiłeś do Wojewódzkiego Domu Kultury?

– Tak. Od opiekuna pracowni elektrycznej dostaliśmy propozycję przygotowania tablicy z układami. Podstawowym narzędziem informacyjnym miał być slajd. Podzieliliśmy się zadaniami: mnie przypadła część fotograficzna, koledze, który miał gadane, rozmowa z dziewczynami.

Ciekawy podział zadań.

– Wymyśliliśmy sobie, że dziewczyny z sąsiadującego z „elektronikiem” technikum budowlanego zrobią nam rysunki schematów. Kiedy doszło do realizacji slajdów, okazało się, że nie jest to takie proste. Pomyślałem, że pójdę do Wojewódzkiego Domu Kultury, gdzie działała sekcja fotograficzna.

W ten sposób poznałeś Jerzego Łaryonowicza?

– Tak.

Człowieka legendę w środowisku koszalińskich fotografów?

– Tak.

Fotografa robiącego niestychanie dokładne zdjęcia jedną ręką?

– Tak (uśmiech). Cały Jurek. Nie był człowiekiem łatwym we współpracy, ale od niego nauczyłem się najwięcej. Po prostu przypadliśmy sobie do gustu. Pomógł mi zrobić to zadanie szkolne, dokładnie wytłumaczył, co z czego wynika. Kolega przestał interesować się fotografią, zostały mu dziewczyny, mnie fotografia wciągnęła. Uważam się za ucznia Jurka.

Co przejąłeś od niego?

– Jak wspomnieliśmy, był niezwykle precyzyjny. Miał różne wady, mam prawo tak o nim mówić, bo długo współpracowaliśmy, ale jedną ręką potrafił robić i wywoływać zdjęcia niesamowicie dokładne technicznie.

Zostałeś w WDK-u?

– Tak, na wiele lat. Czasami robiłem za pomagiera, niekiedy byłem prawą ręką Jurka. Był z nami jeszcze inny Jurek – Szych, którego znałem ze szkoły, późniejszy wieloletni sekretarz „Głosu Koszalińskiego”, sąsiad ze Świeszyna. Razem robiliśmy zdjęcia. Do WDK-u przychodziło wtedy paru ciekawych gości. Jasia Tracza poznałeś?

Poeta, wydał tomik wierszy, chodził z płytami.

– Tak, interesował się też muzyką. Jurek gościł wielu fotografów, stworzył taki mały światek fotograficzny, miał dar przyciągania ludzi. Moja mama obawiała się wprawdzie, że się rozpiję (uśmiech), ale dla mnie przez całe życie alkohol mógłby nie istnieć. Jeżeli już, jestem raczej koniakowy.

Nie mówię, że wszyscy, ale niepijący fotoreporter to jednak rzadkość.

– Nigdy z tego powodu nie narzekałem. Raz czy dwa razy z Jurkiem tak popiliśmy, że miałem dość na resztę życia. Powiedzmy, że Jurek przeprowadził na mnie skuteczną terapię odstawienia alkoholu (uśmiech). Zresztą, wiesz, ta legendarna trunkowość fotoreporterów to chyba jednak mit...



Tego się trzymajmy.

– Wracając do Jurka dokładności: on stracił rękę jako dziecko, w wypadku, nie mówił o tym za wiele, później trafił do szkoły wojskowej jako kreślarz. Miał niezwykle pewną drugą rękę, pięknie rysował. Talent. Precyzję przeniósł na fotografię. Duża kuweta do wywoływania zdjęć z utrwalaczem w moich rękach kołysała się, a Jurek podnosił ją jedną ręką. Piotr, rób zdjęcia jedną ręką, ciężkim aparatem. Teraz to jeszcze możesz zamówić sprzęt na konkretną stronę ciała, wtedy wszystko było uniwersalne. Potem weź drugi aparat i nim też rób zdjęcia.



Z Jurkiem Łaryonowiczem w parku przy WDK
1975 r.

Widziałem, jak pracował. Doszedł do wyjątkowej wprawy.

– Przy wywoływaniu zdjęć dostrzegał najdrobniejszy pyłek. Chemii i czystości nauczyłem się od Jurka. Potrafił za niedokładność nieźle nawtykać. Ta forma przekazywania pouczenia może nie była zbyt elegancka, ale zawsze trafiała (uśmiech). Jakoś dogadywaliśmy się, nasza współpraca przetrwała do końca lat 70.

W WDK-u stanąłeś na nogi fotograficznie?

– Tak, zdecydowanie. Tam, gdzie Jurkowi nie chciało się pójść, mnie posyłał, więc szybko nabrałem doświadczenia. Obsługiwałem imprezy kulturalne, jeździłem w teren. Do dzisiaj nie mogę zapomnieć i przeboleć, ile zdjęć poszło w niwecz. Nie wiadomo, co stało się z całym archiwum WDK-u. Tam były unikatki: historia, portrety, dokumentacja wydarzeń, obiekty, których nie ma. Szlag mnie trafia, że nikt o to nie zadbał.

Gdzieś to wszystko leży, kiedyś się odnajdzie.

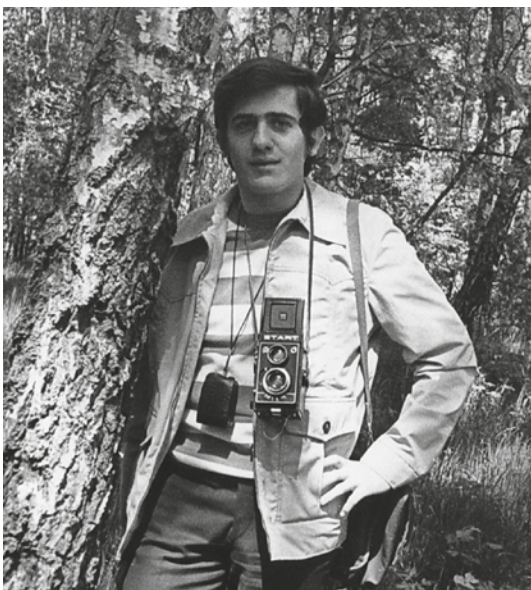
– Wątpię. Po prostu ktoś uznał: „Było, minęło” i zaniósł wszystko na śmietnik. Wiesz, jak ludzie myślą: „Jeżeli mnie nie ma na zdjęciach, po co mi te zdjęcia!”. Zadziwiające, że po tych dużych zbiorach nie został nawet ślad.

Za namową Jerzego brałeś udział w konkursach?

– Tak. Jurek miał niezawodny patent. Zdjęcia, które uznał za ciekawe, rozsyłał na wiele różnych konkursów. Zawsze gdzieś coś trafił (uśmiech). Poza tym miałem możliwość pracy na dobrym sprzęcie, który był na wyposażeniu pracowni. Trudno było cokolwiek kupić. Wielu z nas pracowało na sprzęcie wypożyczonym.

A wystawy?

– Zawsze byłem do wystawiania swoich prac namawiany, ale nigdy nie uległem. Lubię robić zdjęcia, reszta to nie moja bajka.



Bo „nie nadaje się do tego”?

– Tak, tak myślę (uśmiech). Nie lubię szumu wokół siebie. Jestem z tej starej szkoły fotografów, którzy przyjeżdżają, robią zdjęcia i odjeżdżają. Nie bryluję w mediach społecznościowych, nie chwale się wyjątkowym pejzażem.

Mamy rok 75., zbliżają się dożynki.

– Dyrektorem Wojewódzkiego Domu Kultury został Jan Bastrzyk, człowiek prawy i przyzwoity, ceniony, taktowny i – jakbyśmy dzisiaj powiedzieli – relacyjny.

Pracowałem może drugi tydzień w gazecie, gdy spotkaliśmy się na przeglądzie folklorystycznym. Z zachwytem słuchał i patrzył na kolejne zespoły, w końcu wskazał na scenę, westchnął i powiedział: „Oni naprawdę wiedzą, co to kultura”.

– Jak nikt rozumiał potrzeby ludzi kultury. Przyszedł i poprosił: „Jakby pan mógł zająć się naszą pracownią fotograficzną”. Wcześniej Jurek dostał zadanie, żeby przyjrzeć się kulisom organizacyjnym dożynek. Chodziło o pokazanie, jak to wszystko „w pocie, trudzie i znoju” powstaje i jaka atmosfera towarzyszyła przygotowaniom. Wiedziałem, że

Jurek sam sobie z tym nie poradzi, to była naprawdę duża robota.

Za zleceniem szło wynagrodzenie?

– Coś tam na tych zdjęciach zarabiałem. Dla mnie propozycja, żebym pomógł przy dożynkach, brzmiała sensacyjnie. Wiesz, to były zupełnie inne czasy, nikt nie pytał o pieniądze. Nawet nie wiedziałem, ile powinienem za to dostać i czy w ogóle! Przyjąłem pracę po ustaleniach: „Słuchaj, zrób to, to i to, a później ci zapłacimy”.

Ważne, czy rzeczywiście płacili?

– Tak, zawsze. W tamtym systemie zawsze płacili, teraz różnie bywa. Robiłem z kolegą fotografem duży projekt, zamawiający zapłacił. Zlecił nam coś innego, znowu zapłacił. A po realizacji trzeciego zamówienia zapadł się pod ziemię. Szukaliśmy go, ale bez rezultatu. W końcu spotkałem go przypadkowo, gdzieś w mieście. Przepraszał, kajał się, coś tam obiecywał, aż w końcu zapytał, czy chcielibyśmy coś jeszcze dla niego zrobić. Paranoja.



Krzysztof Sokół
1973 r.

A przy dożynkach jak było?

- Wiesz, nie powinienem wszystkiego zdradzać... (uśmiech). Nikomu nie powiem.
- Wam, dziennikarzom, nie można nic powiedzieć. Od razu to napiszecie i wydrukujecie (uśmiech).

Ale bez zdjęć nasze teksty są gorzej wyceniane.

- Dobry argument. Z taką formą wynagradzania za pracę spotkałem się później tylko raz, ale to już naprawdę muszę przemilczeć (uśmiech). A tamten system działał tak, że oficjalnie dostałem to, co widniało w dokumentach. Jak dla mnie, młodego człowieka, były to duże pieniądze. Ale to nie wszystko. Facet z Komitetu Wojewódzkiego PZPR, który nadzorował zlecenie, zaprosił nas do siebie. Wtedy po raz pierwszy byłem w tak zwanym czerwonym gmachu, gdzie odbyła się wypłata rzeczywista.

Edward Gierek ten system nazywał kryzysem.

- Poszliśmy z tym gościem na dół, do stołówki. Była czarna kawa i miła rozmowa. Pod koniec spotkania dostaliśmy po kopercie. Zapytałem, czy mam coś podpisać, a on, że nie, twardo. Za to, co odebraliśmy, kupiłem sobie dobry aparat i jeszcze sporo mi zostało.

Widzisz, w ten sposób władza ludowa wspierała ludzi kultury.

- Żartujesz, ale pomyśl, że jeżeli dla nas, wyrobników fotograficznych, były koperty pod, a właściwie nad stołem, to co działo się na wysokich piętrach władzy.

Wróćmy do dożynek.

- Pamiętasz wielkie zdjęcia w holu dolnym WDK-u? Kilka wisiąło.

Czarno-białe, pamiętam. Wszyscy na nie patrzyli po sto razy w oczekiwaniu na wejście do kina.

- Czyli utrwały się w pamięci. To zdjęcia Jurka i moje. Dzisiaj wiem, że to był mój pierwszy skok na głęboką wodę. Do końca funkcjonowania pracowni dzieliliśmy się robotą. Jurkowi wolało nocami wywoływać zdjęcia, które robiłem w ciągu dnia. Jeździłem po terenie, odwiedzałem instytucje kultury. Zaproszenia przychodziły z najmniejszych wiosek. Każdy chciał się pokazać.

Komitet musiał wiedzieć, co robią ludzie w terenie?

- Wątpię. Nie wiem nawet, czy ktoś te zdjęcia oglądał. Dla mnie, młodego chłopaka, to była nobilitacja. Dostawałem kwity urzędowe, wszędzie wszyscy mnie wpuszczali. Zobaczyłem, jak radziło sobie to nasze społeczeństwo socjalistyczne.

Co zobaczyłeś?

- Zbliżały się przełomy, ale w niewielkich miejscowościach, gdzie dla wszystkich był tylko sklep, a wesela odbywały się w remizach, panowała inna atmosfera. W miastach tlił się, a w aglomeracjach płonął sprzeciw, tymczasem na wioskach wszystko toczyło się swoim osobnym i utartym rytmem.

Dokładnie tak, jak teraz.

- Tam, gdzie zwykli ludzie żyją w mniej lub bardziej sprawnych systemach, nie ma poczucia, że coś nie gra. Wtedy dokładnie tak było. Przyjeżdżałem, a na miejscu: „Pan fotograf pozwoli, kurteczka na kurteczkach, herbatka, ciasteczko, coś mocniejszego? Nie? Nie szkodzi, może później, trochę tu posiedzimy”.

W chorym systemie ludzie stworzyli mutację normalności.

- Otóż to. Imitację tego, co powinno być. Robiłem też, na zlecenie komitetu, zdjęcia „rzeczywistości socjalistycznej”. Ciekawe doświadczenie. Dostawałem do dyspozycji nyskę i jeździłem z kierowcą i scenariuszem wizyt po dziesiątkach miejscowości. Ludziom wszystko kojarzyło się z partią. Docierałem gdzieś na odległe krańce województwa, do pegeerów, a wszyscy wiedzieli, że przyjadę i po co.

Widziałeś malowanie trawy na zielono?

- Lepiej! W pegeerze na końcu świata siedzimy z kierowcą Zbyszkim, palimy, pijemy kawę i czekamy. Wyglądam przez okno, a kilku gości szlauchem myje cielaki, owce, krowy. Ubłocili się, a wszystko miało być do zdjęcia. Realizacja tego całego zlecenia zajęła mi dwa miesiące.

Dumy komuny.

- Te zdjęcia nie dotyczyły kultury, ale tak, masz rację, władza chciała się pochwalić, to się chwaliła. Dla mnie to była lekcja tamtej Polski. Tych wszystkich ludzi nie spotkałbym w innych okolicznościach. Po raz pierwszy widziałem wtedy nowoczesne ogrodnictwa i piętro-

w chlewnie. Czasami jechał Jurek, ale najczęściej przychodził na nocny dyżur w ciemni, gdzie też mu pomagałem, bo tego było tyle, że sam nie dałby rady. Wpadał jeszcze Jurek Szych i jakoś to szło.

Które zdjęcia z tamtych lat utkwiły ci w pamięci?

– Zrobiłem jedno, które widzę, że u osoby sportretowanej wciąż wisi, a, co ciekawe, sama fotografia nic się nie zmieniła. Jurek miał jakiś diablo mocny klej kostny, którym przyklejaliśmy duże prace na płyty paździerzowe. Mówiliśmy na to durnostojki. Te płyty stały w wielu miejscach miasta. Pamiętam historię zdjęcia, ono nie było nasze, dostaliśmy je, na którym stał Piotr Jaroszewicz, a obok Edward Gierek. Towarzysz Gierek dłonią przesypywał zboże. Tego nie zapomnę, myśmy to zdjęcie wywoływali (uśmiech).

Żeby przykleić na płytę paździerzową?

– A jak! Z boku fotograf złapał rękę, może BOR-owca. Przyszedł Szyszka, czyli Jurek Szych i stwierdził, że to trzeba poprawić. Nie było wtedy korektorów, metod retuszu ani programów do uszlachetniania obrazu, ale mieliśmy chiński tusz w kostkach i tym tuszem i pędzelkiem Szyszka poprawił to zdjęcie tak, że wyglądało jak głośny obraz ze Szwejka, co to go muchy obsrały.

Obyło się bez awantury?

– Skądże! Wpadł pan z Komitetu PZPR, obejrzał zdjęcie i gniewnie rzucił: „Tu jest pochłapane! Tak nie może być! Coś z tym trzeba zrobić!”. Stojak z tym zdjęciem miał stanąć niedaleko, koło dawnego Empik-u, więc w miejscu ekspozycyjnym. Płytę wzięliśmy pod pachę i poszliśmy do naszego stolarza, który skadrował zdjęcie przy pomocy piły ręcznej, ale w taki sposób, że już nie trzeba było niczego korygować.

Jak tak będziesz sypał nazwiskami, nie obędzie się bez przypisów.

– Po co przypisy? Kto chciał, ten znał.

Krzysiek, młodzi nie znają tych postaci.

– Młodzi mają Google.



Krzysztof Sokół
1975 r.

Myślisz, że poszukają, kim był Piotr Jaroszewicz?

– Jak tylko zechcą, a powinni chcieć.

Ciekawość to dzisiaj za mało, żeby chcieć.

– Ale właśnie tak jest w życiu, sam wiesz, musisz chcieć. Jeździłeś po tych wioskach popegeerowskich i budach zabitych dechami, pisałeś o różnych szwagrach z nożami. Dlaczego? Jechałeś, bo chciałeś.

Jeszcze jak. PKS-em do Barwic. Dłużej niż teraz do Łodzi.

– Jak się młodemu człowiekowi nie chce, to nic nie ma i nie będzie miał.

Mówisz jak nauczyciel.

– W pewnym sensie jestem nauczycielem, chociaż uczyłem od razu zawodu, czyli teorii mniej. Do dzisiaj lubię praktyków, z nimi dogaduję się najlepiej.

W Polsce nie ma tradycji łączenia teorii z praktyką.

– Bo to trudne. W teorii powiesz, jak powinno być, a w praktyce musisz powiedzieć, jak jest. Często to nie to samo.

A kto fotografował sam przebieg dożynek?

– Dokładnie nie pamiętam, ale chyba fotoreporterzy z „Głosu Pomorza”. Na pewno Jurek Patan. Robiłem imprezę w amfiteatrze, niektóre wydarzenia towarzyszące, w tym konkurs skoków przez przeszkody, i inne punkty programu.

Zachowały się z niej zdjęcia?

– Właśnie między innymi te wsiąkły z całym archiwum WDK-u. Z amfiteatru pamiętam scenę: leje deszcz, widownia nie w całości przykryta dachem moknie. Elegancko wystrojeni ZSMP-owcy w czerwonych krawatach stoją w dalszych rzędach przemoknięci do nitki, a oficjalni goście, na czele z Edwardem Gierkiem, mają sucho, bo chroni ich dach. Towarzysze zawsze wiedzieli, gdzie i jak ustawić się, żeby wyjść suchą nogą, w tym przypadku dosłownie (uśmiech).

Jak długo współpracowałeś z WDK-iem?

– Połowę lat 70., myślę. Przede wszystkim przy obsłudze fotograficznej imprez. Wyjątkowo dobrze wspominam współpracę z Januszem Bastrzykiem, który naprawdę wiedział, jak to wszystko powinno funkcjonować. Gdy Jurek Łaryonowicz miał czteroletnią przerwę w pracy, dostałem również propozycję współpracy z biurem Chórów Polonijnych i robiłem dokumentację festiwalu „Młodzi i Film”. Obydwie imprezy były realizowane w WDK-u, chociaż miały własne biura. Pamiętasz Festiwal Orkiestr Dętych?

W Koszalinie? Nie. W Sławnie odbywa się od wielu lat.

– To ten sam. Powstał w Koszalinie i tutaj miały miejsce jego dwie edycje. To było, jak na ówczesne czasy, duże wydarzenie, można powiedzieć: rozdęte (uśmiech). Mam z tego zdjęcia. Później festiwal został przeniesiony do Sławna. Dwadzieścia lat przy chórach i ponad dwadzieścia lat przy festiwalu „Młodzi i Film” plus mnóstwo różnych innych festiwali. Nie byłbym w stanie tego zliczyć.

Wszystko jest na zdjęciach.

– Właśnie nie wszystko. Dlatego mam żal, że zdjęcia zamawiane przez instytucję nie zostały właściwie zarchiwizowane.

Ale pamiętasz, jak było pod koniec lat 80.: wszystko, co wiązało się z tamtą epoką, lądowało w koszu. Jakby wyrzucić na śmietnik 40 lat historii Polski.

– Za tym w każdym przypadku stali konkretni ludzie ze swoimi decyzjami. Jurek po czteroletniej nieobecności wrócił i poszedł na emeryturę. Zgodnie z sugestią Janusza Bastrzyka przejąłem pracownię, prowadziłem instruktaże fotograficzne, jeździłem po gminnych i miejskich domach kultury. Przez Jurka Szycha poznałem kolejną ciekawą postać – Leszka Siwkowskiego, który prowadził koszaliński oddział „Ilustrowanego Kuriera Polskiego”, czyli popularnego „IKP-a”.

Leszek miał biuro w kamienicy przy Matejki.

– Często tam bywałem. Ta redakcja miała swoją atmosferę, przychodzili tam ciekawi ludzie: Tadeusz Gasztold, Kaziu Ratajczyk, Jasiu Urbanowicz. Ten oddział Leszek prowadził przez wiele lat, a mnie namówił do współpracy. W ten sposób trafiłem do gazety. W „IKP-ie” debiutowałem i poznałem dziennikarzy. W późniejszych latach dawałem zdjęcia do miesięcznika „Pobrzeże”, który prowadził Zbyszek Michta, do kwartalnego magazynu kulturalnego „Bałtyk”, do „Świata Turysty” Mirka Kroma i kilku innych tytułów.

Wymieniłeś postaci ważne dla środowiska.

– Jak przychodziłem do „IKP-a”, wiedziałem, że spotkam kogoś interesującego, z kim warto porozmawiać.

Leszek Siwkowski, pamiętam, trochę fotografował.

– Uczyliśmy go z Jurkiem Szychem fotografii, a on nas chemii. Leszek, dobry chemik, za każdym razem własnoręcznie przygotowywał roztwory do wywoływania zdjęć.

W tamtym czasie żyłeś z fotografii?

– Po prawdzie tak. Ale zawsze jako wolny strzelec.

Jak długo pracowałeś w WDK-u?

– Do połowy lat 80. Niedawno, szukając dokumentów do podstawy emerytury, znalazłem masę ciekawych rzeczy, w tym zdjęcia, o których zapomniałem, że powstały. Potwierdziłem przy tym to, co zapamiętałem: przez pięć lat pracowałem na półwce etatu, a w następnych na zlecenie.

Dlaczego odszedłeś?

– Z kolejnym dyrektorem, Ryszardem Ulickim, byliśmy kolegami, ale nie potrafiliśmy się dogadać. Chciał, żebym przeszedł na cały etat i więcej czasu poświęcał WDK-owi. Ponieważ odmówiłem, musieliśmy się rozstać.

Równolegle przez cały czas pracowałeś w „elektroniku”.

– Po szkole, od Wiesława Prowanskiego, ówczesnego zastępcy dyrektora, legendy „elektronika”, otrzymałem propozycję pracy i poprowadzenia praktycznej nauki zawodu w zakresie telekomunikacji.

Co masz napisane na dyplomie?

– Technik elektronik, o specjalności teletransmisja.

Co to jest teletransmisja?

– Dziedzina elektroniki (uśmiech). A także dział telekomunikacji.

To wciąż mi nic nie mówi.

– We wszystkim i wszędzie masz nadawcę i odbiorcę. Jak teraz nadaję, a ty odbierasz, tak? (uśmiech).

Odbieram cię bardzo dokładnie.

– A dlaczego? Ponieważ porozumiewamy się znanym nam kodem, w tym przypadku językiem polskim i drogą rozmowy. Teraz wyobraź sobie, że przesyłanie informacji lub danych odbywa się za pomocą innego kodu i innej formy transmisji. Jeżeli użyjemy mediów przewodowych lub bezprzewodowych, to właśnie będzie teletransmisja. Nie pracowałem w zawodzie wyuczonym. Miałem do wyboru: studia lub praca. Na studia, jak już mówiłem, nie byłoby stać moich rodziców.

Gdzie miałeś pracować?

– W teletransmisji na kolei. Szkole zależało przede wszystkim, żebym zajął się sprzętem audiowizualnym, który dopiero stawał się popularny, a nagrania modne. Miałem na punkcie sprzętu, głównie kamer, wtedy jeszcze tych ciężkich wersji beta, hopla. Zostałem w szkole, zrobiłem studium pedagogiczne i rozpocząłem zaoczne studia pedagogiczne, których nie skończyłem, bo fotografia interesowała mnie bardziej.

Ile lat oddałeś „elektronikowi”?

– Czterdzieści pięć. Piętnaście lat pracowałem jako nauczyciel zawodu. Jako nieliczni w kraju, utworzyliśmy regularne studio telewizyjne. Mieliśmy kamery przemysłowe, obiektywy od aparatów Zenith i studio wygłuszone wytłoczkami.

Na spinaczach w technice wszystko chodzi niezawodnie.

– Ze sprzętem nie było tak jak dzisiaj: masz forę, zamawiasz i przywożą pod adres, co potrzeba. Wszystko polegało na sprawnym łataniu dziur i zamiennikach. Mieliśmy sieć monitorów, ale nie mogliśmy sobie poradzić z dźwiękiem.

Nie wierzę.

– Chcieliśmy, żeby dźwięk dochodził z obrazem.

Skąd mieliście monitory?

– To były takie małe telewizorki, ale za to każda klasa miała swój.

Ile było tych klas?

– Dużo, ponad trzydzieści. Sygnał szedł za pośrednictwem przetworników do anten zbiorczych. Początkowo robiliśmy dźwięk systemem radiowęzła, w każdej klasie wisiał odbiornik.

Ile lat istniała ta sieć?

– To jest najciekawsze. Od połowy lat 70. do boomu internetowego. Trzydzieści, tak myślę.

Czy dobrze myślę, że ty jesteś w „elektroniku” człowiekiem instytucją?

– Bardzo jestem, bardzo (uśmiech). Dyrektorem miałem dwóch, teraz to stanowisko zajmuje moja koleżanka, Joanna Rydzewska. Opiekowałem się studium telewizyjnym, byłem operatorem sprzętu audiowizualnego, prowadziłem zajęcia z fotografii i kółka zainteresowań.

Dlaczego teraz nie chciałeś wracać?

– Ten rozdział miałem zamknięty, nie planowałem powrotu. Koleżanki i koledzy pożegnali mnie, organizując sympatyczną ceremonię. Byłem przygotowany na długi odpoczynek, tymczasem dyrektor zaproponowała mi, żebym został. Zgodziłem się na półówkę etatu. Plany wyjazdowe nie powiodły się, ale przez pandemię.

Jakie miałeś relacje z uczniami?

– Dogadywałem się bez problemów. Jestem człowiekiem konkretnym, to młodzi ludzie doceniają. Uczniów traktuję po partnersku. Zresztą w studiu czy na kółkach te relacje są inne, łączy nas pasja. Podobnie było, kiedy prowadziłem zajęcia z fotografii w WDK-u i w klubie „Budowlani” przy Orlej. Szybko łąpałem dobry kontakt. Teraz mam w szkole dwie grupy.

Ilu twoich wychowanków zostało fotografami?

– Młodzi ludzie przychodzą i odchodzą, rzadko utrzymujemy kontakt. Wciąga ich życie. Ale lubię jak na zajęciach są dociekliwi, dopytują. Najgorzej, kiedy chłopak siedzi z głową w komórce, myślami jest gdzieś indziej.

Jak było dawniej?

– Więcej zapaleńców. Chcieli nauczyć się czegoś, coś z tych zajęć wynieść dla siebie. Z tych rzadkich kontaktów wiem, że co najmniej kilku interesuje się fotografią, robią zdjęcia amatorsko, dla przyjemności. Ale mam też, co mówię z dumą, swojego ucznia – Wojtka Busa.

Z Koszalina?

– Z Koszalina, ale wyemigrował. We Francji poznał dziewczynę, dziennikarkę, i wszedł w to środowisko. Robił zdjęcia z całego świata, które naprawdę robią wrażenie. Pracował w agencjach: włoskiej i francuskiej. Poza tym wydawał książki. Przyjemnie, kiedy uczeń przysyła ci swoje albumy z dedykacją. Mam ich kolekcję, poczynając od Armenii, a kończąc na Wyspie Wielkanocnej.

Pamięta o nauczycielu, to miłe.

– Ba! Nawet w rozmowie z Radiem Koszalin powiedział, że fotografią zainteresował się dzięki mnie (uśmiech).

Masz więcej takich uczniów?

– Mam, ale z osiągnięciami innego formatu. Wojtek skończył naszą szkołę i doszedł do najwyższej klasy fotograficznej. Obecna dyrektorka „elektronika” też chodziła do mnie na kółko, co mi do dzisiaj wypomina (uśmiech).

Dlaczego na trwałe związałeś się tylko w „elektronikiem”?

– Trochę z wygody? Miałem w „elektroniku” bezpieczną przystań, szedłem utartymi ścieżkami. Lubiłem ludzi, pracę, środowisko, atmosferę. Otrzymywałem różne oferty, na przykład przejścia do „Głosu Koszalińskiego”, ale zawsze odmawiałem.

W obecnych realiach to rzadka postawa.

– Niektóre z tych propozycji były dużo bardziej intratne, niż etat w szkole, ale wiesz, jak to w mediach bywa: dzisiaj praca jest, jutro nie ma.

Współpracowałeś również z Koszalińskim Towarzystwem Kulturalno-Oświatowym, które prowadził Janusz Pietrzykowski.

– Tak, to kolejna ważna postać w moim życiu. Po odejściu z WDK-u Jasiu założył KTKO, które było rodzajem impresariatu. Przez 10 lat współpracowaliśmy. Obsługiwałem foto-



graficznie wszystkie jego imprezy. Janusz zapraszał do Koszalina i okolicznych miejscowości popularne postaci kultury, które w zakładach, w uzdrowiskach i w ośrodkach wypoczynkowych spotykały się z publicznością.

Kogo wtedy poznałeś?

– Wiele osób, między innymi Ewę Wiśniewską, Mieczysława Fogga, Stanisława Mikulskiego, Wojciecha Siemiona, Marka Wysockiego, Brunona O'ę, a nawet Ewę Złotowską, która oddała głos Pszczółce Mai. Dzięki KTKO powstał album o Koszalinie z moimi zdjęciami.

Z obwolutą, w okładce materiałowej.

– Tak. Zamysł był taki, żeby zorganizować konkurs fotograficzny o Koszalinie i w większym nakładzie wydać z niego album. Ludzie nadesłali niewiele prac, zresztą w większości czarno-białych, a potrzebne były barwne. Jasiu zapytał, czy zrobię swoje zdjęcia. Nie było łatwo, brakowało materiałów fotograficznych, ale powstał pierwszy album o mieście z kolorowymi zdjęciami. Dru-

karnia wywiązała się z zadania, a Leszek Siwkowski napisał przedmowę.

Robiłeś zdjęcia dla Miejskiego Ośrodka Kultury?

– Nie. Po odejściu z WDK-u pracowałem przy festiwalu „Młodzi i Film”, który w 99. roku, po 10-letniej przerwie, reaktywował Roman Skeczkowski, ówczesny kanclerz Bałtyckiej Wyższej Szkoły Humanistycznej. Do współpracy zaprosili mnie długoletni organizatorzy imprezy: Basia i Piotr Jaroszykowie. Piotr był wieloletnim dyrektorem festiwalu. Wcześniej uczelnia, pod auspicjami Basi i Piotra oraz z ich materiałami archiwalnymi, wydała album o „Młodych i Film” z moimi zdjęciami.

Z pierwszy raz spisaną historią festiwalu.

– Pozostała pamiątka. Mam duży sentyment do „Młodych i Film”. Każda edycja festiwalu to było wydarzenie ogólnopolskie. Moje zdjęcia trafiały do gazet w całym kraju, najwięcej relacji publikował branżowy „Film”. Poznałem mnóstwo wspaniałych ludzi.



Wystawa w Bibliotece Wojewódzkiej
1982 r.

A ile lat współpracowałeś z gazetami?

– Ponad czterdzieści. Poza tytułami, o których mówiłem, dawałem zdjęcia również do „Tygodnika Koszalińskiego”.

Tam nasze nazwiska spotkały się po raz pierwszy.

– Pamiętam. W połowie i pod koniec lat 90. Już współpracowałem z „Głosem Koszalińskim”.

W redakcji „Tygodnika” nie bywałeś.

– Wtedy naczelną była Ela Szwaczko. Dawała sygnał, co potrzebujecie, jechałem, robiłem i wysyłałem. Zawsze trzymałem się zasady, że tam, gdzie nie muszę bywać, nie powinienem.

Szkoda. W „Tygodniku” też był oryginalny klimat.

– Trochę o tym słyszałem (uśmiech). Ela zastąpiła na stanowisku szefa redakcji Jurka Banasiaka, ale nie chciała niczego zmieniać – tak mówiła.

Świat był mały, a staje się coraz mniejszy.

– Co gorsza, w przerażającym tempie pustoszeje. Nie ma już z nami Eli ani Jurka, ani Wiesława Millera, który też pracował w „Tygodniku”, a wcześniej z tobą w „Gońcu”. To wszystko wydarzyło się w krótkim czasie.

Pożegnaliśmy też Małgosię Kołowską, Magdę Omilianowicz, z którą pracowałeś w „Głosie”, z Radia Koszalin: Takisa Grancarisa i Wincentego Stachowskiego, Krzysia Subocza ze Szczecinka.

– Wiem, śledzę kondolencje.

Każdego roku z naszego środowiska żegnamy po kilka osób.

– Dlatego zaczęliśmy organizować spotkania dinozaurów fotografii koszalińskiej.

Żartujesz! Kiedy, gdzie? Pierwsze słyszę.

– Przed pandemią systematycznie, a ostatnio rzadziej, ale wrócimy do regularności. W dobre ci znanej, przytulnej knajpcie w centrum miasta (uśmiech). Spotykamy się, żeby pogadać o fotografii i o starych czasach.

Kto jest głównym dinozaurem?

– Boguś Siwko (uśmiech). Pierwszorzędnie nas sprasza.

Jak nikt inny, ma do tego prawo.

– Przychodzą seniorzy i nestorzy, ale tak naprawdę, to każdy, kto chce i czuje się w naszym towarzystwie dobrze. Czuj się zaproszony.



KOSZALIN

Zakaz fotografowania pod strażą dzielnicowego



Jakie było twoje dzieciństwo?

– Przypadło na lata 60. Już wtedy dużo działa się za oknem i w polityce, na szczęście mnie głównie interesował rowerek.

Byłeś ministrantem?

– W parafii katedralnej, tak. Jestem chłopakiem z centrum. Wszędzie miałem blisko, wszystko pod ręką.

Co zapamiętałeś z dzieciństwa?

– Okolicę, w której mieszkaliśmy. Ludzi, ale tylko tych, którzy czymś się wyróżniali. Nie byłem dzieckiem, które stwarzało problemy.

Z czym kojarzą ci się lata 60.?

– Z podwórkiem, z dzieciństwem. Ojciec był przewlekłe chory, niedomagał, więc mama pracowała na kilku etatach, żeby wszystko utrzymać. Z nami mieszkały: ciotka i babka, można więc powiedzieć, że wychowałem się w babińcu (uśmiech). One we dwie zajmowały się mną, gdy mama pracowała. Ciotce dużo w życiu zawdzięczam, spłaciłem swój dług przez pięć lat opiekując się nią przed śmiercią.

Jaka była twoja mama?

– Kochała naturę. Uwielbiała spacerować, jak przychodziła wiosna obejmowaliśmy drzewa, czerpiąc z nich energię. W dzieciństwie byłem ciągnany po lasach, stąd pewnie moje zamiłowanie do zdjęć przyrodniczych. To, co mama robiła, było dla mnie ważne, zostało mi w głowie.

Co jeszcze pamiętasz?

– Potrafiła dobrze gotować, zwłaszcza potrawy kuchni wschodniej. Moich kolegów podzieliła na porządných i nieporządných. Porządni lubili dobrze zjeść, a ci, którzy nie jedli, nie mieli czego szukać w naszym domu (uśmiech).

Koszalin z twojego dzieciństwa to jakie ulice?

– Jako chłopak, sam to pewnie wiesz po sobie, kręciłem się dosłownie wszędzie. A przynajmniej tam, gdzie mogłem.

Tam, gdzie nas wpuszczali.

– Właśnie, to ciekawe, kiedyś więcej było różnych miejsc niedostępnych. Klatki schodowe, pamiętam, były zamykane na klucz. Płoty, furtki – wszędzie musieliśmy zdobywać prześtrzeń pozornie otwartą dla każdego.

Dokąd wędrowałeś po tamtym Koszalinie?

– Nie wszystkie matki pozwalały chodzić po całym mieście, więc najczęściej tam, gdzie było najbliżej: okolice placu Gwiazdowego, dawnej Dzierżyńskiego, 1 Maja, rejony liceum, park, różne wyjścia i przejścia.

Pamiętam wielkie wyprawy do parkowych bunkrów.

– Pozostałości wojenne to osobna kategoria moich przygód z dzieciństwa (uśmiech). Przecież to wszystko było w gruncie rzeczy niedawno po wojnie. Wystarczyło trochę poszukać, zwłaszcza tam, gdzie ludzie trzymali węgiel, w szopach i w poniemieckich dobudówkach, żeby coś znaleźć.

Ciągnęło cię do takich odkryć?

– Nie, ale wiedziałem, że ludzie szukali różnych rzeczy. Jak mnie pytasz o Koszalin z dzieciństwa, to na przykład mam przed oczyma obraz z miejsca, gdzie mieszkał mój stryjek, przy Władysława IV. W pierwszym budynku naprzeciwko parkingu z dojściem do poczty.

Budynek z filią biblioteczną.

– Tak. Od tego miejsca, wyobraź sobie, roztaczało się pole i rosło zboże. Zamiast ZUS-u, kawałek dalej, stało kilka domów z sadami. Tam mieszkała moja ciotka, miała gruszki, których smak do dzisiaj pamiętam.

Przyszło mi na myśl, że wszędzie było bliżej.

– Tak to można ująć (uśmiech). Z drugiej strony, wszystko stało w dzisiejszych odległościach, tyle że pomiędzy miejscami było więcej wolnej przestrzeni. Albo tak to wszystko zapamiętałem.

Zapamiętałeś coś szczególnego?

– Na bocznicę dworca kolejowego, od ulicy Szczecińskiej, stali wozacy, którzy rozwozili węgiel. Chodziliśmy oglądać ich konie pociągowe i wozy bez plandek. Dla dzieci to była



egzotyka. Umorusane czarnym pyłem, ubrane w kufajki, wąsate chłopcy.

Widziałem ich lata później w składzie węgla przy Niepodległości.

– Panowie lubili sobie golnąć, pewnie koniom też nie żałowali. Przy innej okazji podpatrzyłem, jak pod budką pijąc piwo z solą częstowali nim również konie.

Dlaczego z solą?

– Podobno do piwa zimnego lub piwa pitego na zimnie dobrze dodać szczyptę soli, wtedy ochroni się gardło przed przeziębieniem. Piwo kipiało pianą. Dokładnie takich samych wozaków zobaczyłem później w „Misiu” u Stanisława Barei.

Tych od córki Tradycji?

– Tak! Ktoregoś dnia pod naszymi oknami spłoszone konie ruszyły kłusem w dół Miłej. Pamiętam biegnące konie, krzyki, rozpadający się wóz i jak ze środka ulicy pierchamy w krzaki. Po latach spotkałem faceta, który, jak się okazało w rozmowie, był tam ze mną, w gronie tych dzieciaków. Ma identyczne wspomnienia.

Myślałeś wtedy, że miasto tak się rozbuduje?

– W życiu! Przypuszczam, że Koszalin nawet został zaprojektowany jako miasteczko, a nie miasto. Dopiero z biegiem lat i pod wpływem naturalnego rozwoju stał się dużo większy, niż zaplanowano.

Wskazywałby na to rodzaj zabudowy Śródmieścia.

– Nie tylko. Pierwsze wylotówki były wąskie, kościoły nieduże. W centrum niewiele jest parkingów, dominują tereny zielone.

Sto tysięcy mieszkańców to i tak niewiele.

– Prognozy wskazywały, że koszalinian może być nawet sto dwadzieścia tysięcy. Coś nie do końca zadziało. W latach, które wspominam, na obrzeżach ścisłego centrum stały zabudowania gospodarcze.



„Manhattan”, | ul. Drzymały
lata 80. XX w.

Infrastruktura miejska wchłonęła wiejskie przedmieścia.

– Każde miasto rozpycha się w przestrzeni. Koszalin zawsze był tranzytowy, więc ludzie przemieszczali się, szukali swojego nowego miejsca na Ziemi. Część osób została z nadzieją na lepsze życie, inni przyjechali z nakazem pracy, za rekomendacją dawnych sąsiadów, za przesiedloną rodziną.

W ten sposób powstał krąg różnic.

– Nie wiem, czy tak jest naprawdę, to zadanie dla badaczy kultury i tożsamości, ale myślę, że z tych kontrastów wynikało coś ciekawego. Weźmy kuchnię koszalinian. Czy gdziekolwiek w kraju na stole świątecznym ludzie mają potrawy z tak wielu regionów? Niektóre smaki pochodzą z drugiej części Polski.

Każde nowe pokolenie wnika głębiej, integruje się intensywniej. Coraz więcej mamy koszalinian z urodzenia. Ty też jesteś stąd.

– Zawsze to podkreślam (uśmiech). Mama pracowała przy dawnej Pawła Findera. Po prawej stronie, jak do niej szedłem, widziałem gospodarstwo rolne, pały się barany. Pamiętam nawet nazwisko właściciela. Po lewej było ogrodnictwo, tam, gdzie dzisiaj stoi osiedle przy Orlej.

Jakich części miasta wtedy nie było?

– Osiedla „Północ”, to już mówiłem, a właściwie dopiero zaczynało się, chociaż nie do końca wiedzieliśmy, co tam powstanie. Nie znaliśmy pojęcia osiedla z wielkiej płyty czy noclegowni. Bez doświadczenia z innych miejsc nie mogliśmy przypuszczać, że w ciągu kilku dziesięcioleci powstanie „nowy Koszalin”.

Tak to odbierasz – jako „nowy Koszalin”?

– W pewnym sensie tak. Większość mieszkańców, o ile nie musiała, bo ktoś postawił dom lub dostał mieszkanie i wyprowadził się w inny rejon miasta i do siebie zapraszał, nie opuszczała najbliższej okolicy. Nie było potrzeby. Zmiany w otoczeniu zachodziły gdzieś obok. Każdy był zajęty swoimi sprawami.

Czyli na dobrą sprawę nie wiedzieliście, co i gdzie powstaje?

– Ludzie mówili: tu to stawiają, tam nowy kościół budują. Wiesz, te obiekty nie mogły uciec, więc nie miało znaczenia, kiedy je zobaczymy (uśmiech). Gdzieś jechałem i trochę tak jak teraz, otoczenie mnie zaskakiwało: „A tego tu nie było, tam stał stary dom, a tutaj coś budują”.

Jak ludzie przyjmowali te zmiany?

– Wiem po sobie, że było pewne oczekiwanie. Czuło się rozwój, że to jednak nie będzie miasteczko. Rozbudowa i przebudowa nabrały przyspieszenia na początku lat 70.

Jak ludzie reagowali na osiedla z wielkiej płyty?

– Reakcje były różne (uśmiech). Niektórzy przecierali oczy ze zdumienia, że tak można. Tak, to znaczy bez cegły.

Jak długo trwało stawianie budynków?

– Bardzo krótko. Osiedla szybko powstawały i natychmiast były zasiedlane.

Podobno największą konsternację wzbudzały zsypy.

– Bo to wiadomo: jak wyrzucisz do kosza, to będzie wyrzucone, a tak nie bardzo wiadomo, gdzie to trafi. A nuż, gdzie nie trzeba.

A windy?

– Windy również były szokiem. Początkowo nikt nie chciał nimi jeździć, bo to mało pewna sprawa. Jak metro, tyle że w pionie i z krótszą trasą (uśmiech). A zresztą w tamtych czasach kto myślał w Polsce o metrze? W końcu ludzie przyzwyczaili się, a może po prostu ulegli wygodzie nowych rozwiązań technicznych.

Zamiast zieleni – beton.

– Beton nie był aż takim zaskoczeniem, co parkingi. Mieszkańcy bloków zachodzili w głowę, po co tyle miejsca, kto lub co tam będzie stawać.

Ile samochodów było w mieście?

– Przypuszczam, że jedna dziesiąta tego, co jeździ dzisiaj. Albo jeszcze mniej. Czasami na dużym parkingu między blokami stały dwa auta. Niektórzy myśleli, że to wystarczy na dziesięciolecie. A inni, że zamiast tych pustych przestrzeni powinno być więcej zieleni.

Jeszcze więcej?

– Koszalin zawsze uchodził za miasto zielone. Kiedy zaczęły powstawać osiedla, projektanci musieli umiejętnie dzielić przestrzeń, żeby nie uszkodzić tej etykiety. Teraz widzę, że na każdym wolnym metrze powierzchni, zwłaszcza w Śródmieściu i w centrach osiedli, coś powstaje.

Zaczynamy dusić się w mieście.

– Byłem świadkiem tego rozwoju. Cieszę się, że tak wiele z tego, co działo się i wciąż ma miejsce, mam na zdjęciach. Czasami wystarczy pojedyncze ujęcie, żeby uzmysłwić sobie, gdzie byliśmy, a gdzie jesteśmy.

Dożynki.

– To wydarzenie miało podwójne oblicze. Z jednej strony, naprawiano tylko fasady, remontowano to, co było widoczne, bez zaglądania na klatki i podwórka. Najlepszym przykładem kamienica, w której mieszkałem. Z zewnątrz została odpicowana, w środku wilgoć i grzyb.

A z drugiej strony?

– Nawet w kilku miejscach Koszalina jednocześnie coś się budowało. Mówię: się, ale to przecież nie działo się samo, za tym stali ludzie.

Na przykład Andrzeja Boniek.

– Dobry przykład. Budowniczy „nowego Koszalina”. Szkoda, że niedoceniony, a dzisiaj właściwie zapomniany. Nie ma swojej ulicy. Ubolewam, że o ludziach większego formatu tak łatwo zapominamy. Mam zdjęcia z największych inwestycji, część z nich oczywiście gdzieś posiałem (uśmiech), ale większość zachowała się i właśnie trafiła do Archiwum Państwowego.

Wiedziacie, gdzie jest Świeszyno?

– Skądże! To była wieś pod miastem. Chociaż już wówczas jej mieszkańcy pracowali i uczyli się w Koszalinie. Właśnie po takich miejscach, lepiej niż po osiedlach miejskich, widać zmiany. Lata 60. były piętnaście lat po wojnie. Pamiętasz, co działo się piętnaście lat temu?

Bardzo dokładnie.

– Tak samo wtedy ludziom bliskie były wspomnienia wojenne. W Świeszynie w połowie lat 40. nastąpiła historyczna wymiana mieszkańców. Niemcy uciekli tak, jak stali. Zostawili wszystko, niektórzy tylko potłukli porcelanę. Ludzie wprowadzali się do domów gotowych do zamieszkania.

W stosach płonęły meble po Niemcach.

– Nikt nie chciał spać w łóżku i jeść przy stole po Niemcach. Tak silne były te emocje wojenne, trauma.

Najstarsi mówią po swojemu: „Świeszyna”.

– Spotkałem się z tym określeniem. Właśnie to świadczy o tym, jak dostosowujemy otoczenie pod i dla siebie.

Przed obsianiem trawników projektanci terenów zielonych sprawdzają przebieg naturalnie wychodzonych ciągów pieszych.

– Jak człowiek rozpakowuje się w hotelu, zawsze coś sprawdza i każdy z nas co innego. Niektórzy czy ręczniki są suche.

Wróćmy do Świeszyna.

– Zawsze wracam do Świeszyna (uśmiech). Wszędzie były lasy i pola, mieszkańcy mieli kury, kaczki, konie, uprawiali ziemię. Tylko beton łat się do nowych fundamentów. Z ubitych dróg pamiętam kilka. Piękne było Czarne, rowerami jeździliśmy nad Hajkę – to jezioro do dzisiaj bardzo lubię. Sąsiednie Sarzyno było jeszcze wsią, dopiero w latach 80. zostało przyłączone do miasta.

Koszalinianie szybko odkryli dla siebie Świeszyno.

– Bo blisko, szybko, droga prosta, ładne i suche tereny, przyjazne wiatry. Domy rosły od sznurka, całe ulice, osiedla.

Teraz trudno znaleźć pole graniczne między wsią a miastem.

– Z czasem i ta wieś stanie się osiedlem miejskim. Jak wszędzie i jak zawsze będą obawy i protesty, ale rozwój cywilizacyjny toczy się jak ogromny walec. Wprawdzie niczego nie niszczy, ale też nie dostrzega przeszkód.

Masz u siebie ulubione miejsca do fotografowania?

– Mieszkam w pięknej okolicy, ale – inaczej niż w domu miejskim – trzeba przejść się, żeby coś zobaczyć, a trochę dalej, żeby sfotografować. Hajka i okolice jeziora to moje miejsca. Nie mam tak, jak na przykład ludzie z gór, że oprowadzam znajomych szlakiem odkryć przyrodniczych (uśmiech). Każdy lubi co innego. Dla mnie ważny jest widok, który lubię kontemplować w ciszy i w skupieniu.

Wystarczy wejść w lasy za pałacem w Strzekącinie, żeby znaleźć wszystko, czego fotograf poszukuje w naturze.

– Pałac sam w sobie też jest bardzo ciekawy. Mam jego dokumentację z czasów, gdy zmieniał właściciela na obecnego. Malownicza i niesamowicie fotogeniczna jest dolina rzeki Chotli za Niedalinem.

Nie byłem, ale słyszałem o tamtejszym szlaku kajakowym.

– Rzeka przypomina górską, lubię ją wędkarze. To dopływ Radwi, który ma niespełna 40 kilometrów długości. Trzeba kawałek przejść, ale można podjechać, żeby zobaczyć nieuregulowany brzeg i stare dorzecze. Krajobraz bajkowy, mówię ci, warto zobaczyć.

Pojadę. W ten sposób jesteś chodzącą promocją gminy.

– Może szkoda, że nie mam agroturystyki. Wskazuję to miejsce bez większych obaw, bo wiem, że mało kto ma ochotę przedzierać się przez krzaki (uśmiech). Dla wędkarzy ta lokalizacja to wyzwanie. Przyjeżdżają na pstrągi, ale z powodu nieuporządkowanego dojścia mają utrudnione zadanie. Lubię Świeszyno, cała gmina jest ciekawa.

Które lata były dla Ciebie najbardziej fotogeniczne?

– 80. Wtedy wychodziliśmy z tej umownej szarości PRL-u i w przestrzeni miasta, ale także we wnętrzach, pojawiło się więcej koloru. 90. też, ale ówczesna duża dynamika wydarzeń nie pozwoliła wszystkiego uchwycić. Wiele zjawisk, miejsc, wydarzeń nam uleciało. Dlatego marzy mi się wydanie albumu poświęconego latom 90. w Koszalinie.

Musiłoby to być umiejętne połączenie faktów, cytatów, dokumentów, wspomnień i dat, a przede wszystkim zdjęć i infografik. Tylko w takim zestawieniu dałoby się to wszystko ogarnąć i opowiedzieć.

– W tamtym okresie wszystko działało się na kilku poziomach równocześnie. Sporo z tych rzeczy mam na zdjęciach.

A wcześniej, pamiętasz budowę wiaduktu?

– To było wielkie wydarzenie, pierwsza tego typu budowla w Koszalinie. Jak ostatnia warstwa nawierzchni została ułożona na filarach, czołgami testowano wytrzymałość konstrukcji



(uśmiech). Coś takiego tylko w Polsce! W jedną i w drugą stronę, z chrzęstem gąsienic, sprawdzano czy coś nie pęknie.

To chyba robiło wrażenie.

– Sama budowa również. Czuło się rozwój miasta. Wtedy, jak wspominałem, dużo zmieniało się w Koszalinie, bo nadciągaly dożynki. Poza tym, wiadukt nad doliną był po prostu potrzebny. Samochody jeździły dołem, a przejście z jednej strony na drugą było karkołomne.

Czy można było przewidzieć, że pół wieku później runie?

– Wiadukt był sprawdzany, a od czasu do czasu remontowany. Mam zdjęcia z tych prac. Przez długie lata nie działo się z nim nic złego. Tego, że złoży się jak domek z kart po naruszeniu konstrukcji jednej ze stron, można było uniknąć. Obawiam się, że to wiedza ogólnodostępna. Kwestia wyobraźni. Teraz z ciekawością czekam, co powstanie w jego miejsce i jak nowy obiekt wkomponuje się w otoczenie.

W dzieciństwie mieszkałem w pobliżu. Z wiaduktem, a właściwie z tym, co znajdowało się pod nim, wiązała się cała masa legend miejskich.

– Mnie wiadukt kojarzy się ze zdarzeniem tak wrośniętym w słuszną minioną epokę, że młodzi ludzie mogą zakwestionować jego wiarygodność.

Opowiadaj, najwyżej dopiszemy tłumaczenie.

– Na nawierzchni asfaltowej wiaduktu zrobiła się znaczna i niebezpieczna wyrwa. Jadę „maluchem” za nyską milicyjną. Samochód zwalnia, mundurowi chcą przyjrzeć się dziurze. Zatrzymuję się, a za mną inne wozy. Kierowca nyski nagle zaczyna cofać, trąbić gwałtownie, ale bezskutecznie, auto MO uderza w „malucha”.

Od razu trzeba było przyznać się do sprawstwa.

– Też tak pomyślałem (uśmiech). Uderzenie było tak duże, że „maluch” do połowy wjechał w nyskę. Dobrze, że stałem na hamulcu ręcznym, bo powstałby karambol. Na szczęście nic mi się nie stało. Nie wiem, czy mnie wcześniej widział, ale na widok tego, co zrobił, milicjant powiedział tylko: „O k..., samochód”.



Wiadukt | aleja Monte Cassino
2000 r.

Zakładam, że od razu zacząłeś robić zdjęcia.

– Dodatkowo szukałem ludzi, którzy mogliby poświadczyć, co się stało. Przepchano nas z wiaduktu na parking przy kościele i rozpoczęliśmy rozmowę, z której wynikało, że zaczynam wchodzić w krąg osób podejrzanych o spowodowanie wypadku z udziałem pojazdu milicyjnego.

W takich sytuacjach przydają się zdjęcia.

– Ale oczywiście było pytanie o zasadność robienia tych zdjęć i kto mi na to pozwolił. Przyjechał patrol. Funkcjonariusze chcieli, żebym dmuchnął w balonik. Zasugerowałem, że może jako pierwsi powinni to zrobić milicjanci z nyski, więc na tej próbie zakończyło się badanie trzeźwości kierujących.

Dostałeś odszkodowanie?

– Tak. Plus wyjaśnienie, że winę za wypadek ponosi kierowca nysy. Jednak jego błąd został w pełni usprawiedliwiony, ponieważ – z sygnałami świetlnymi i dźwiękowymi – jechał na interwencję.

Jakie były lata 90.?

– Nie wiedzieliśmy, co z tego wyniknie.

Z transformacji, zmiany systemu?

– Dla wielu ludzi to była rewolucja, a nie ewolucja. Rewolucja zjadająca swoje dzieci, bo nowa rzeczywistość brutalnie prześwieciła wszystko, co było wcześniej, włącznie z życiorysami, nawet najbardziej szlachetnymi. Nie mam na myśli nikogo konkretnie, ale dowiadywaliśmy się nowych rzeczy o starych znajomych.

W ciągu kilku dni zniknęły niektóre szyldy, tablice, oznaczenia.

– Wszędzie widoczne były zmiany, także w infrastrukturze. Samorząd prywatyzował sklep po sklepie. Jak powstało Centrum Handlowe „Cegielski”, do butików ustawiały się kolejki świeżo upieczonych kapitalistów. W rosyjskich kożuchach po francuskie futra, można powiedzieć. Pierwsza część dekady to było wielkie sprzątnięcie i budowanie. Pod koniec drugiej rząd zafundował nam reformę administracyjną.

Kapitałiści byli nawet wśród zagorzałych komunistów.

– Polak potrafi – to hasło nie wzięło się znikąd. U wielu notabli widziałem wstręt do biznesu. Dokładnie ci sami po 89. roku zakładali spółki joint venture. Nikt tak dobrze nie wyszedł na przekształceniach, jak oni. Wspecjalizowali się przy tym w sztuce narzekania i zrzucania odpowiedzialności za swoją niedolę na nową Polskę.

W rozmowie dwóch Polaków musi pojawić się polityka.

– Wszystko to polityka. Media również, zwłaszcza teraz.

Wtedy stroniliśmy od opowiadania się za kimkolwiek i czymkolwiek.

– Ale, musisz przyznać, już wtedy zaczęło się kojarzenie mediów z ugrupowaniami. Niby nic, ale czuło się delikatną sympatię, dyskretne wsparcie. Jednak wprost nie było w mediach polityki, to prawda.

Jako rok graniczny dla tego zjawiska postrzegam 2010. Wcześniej to były drobne gierki.

– Nie przyglądałem się temu tak wyraźnie. Z punktu widzenia fotografa zmieniły się tylko barwy (uśmiech). Wracając do handlu: urzędnicy prywatyzowali wszystko, bo taki był trend, a i wygoda. Samorządy dostały trochę kasy, a kapitał zaczął inwestować w mienie komunalne. Wszystko kwitło.

Dzięki temu, w pierwszej kolejności, powstała oczyszczalnia ścieków i możemy pić krystalicznie czystą wodę.

– To była potrzebna inwestycja. Ale wystarczyło kilka lat, żeby sklepy handlowców, którzy zaczynali od postojów taksówek i straganów z kwiatami, zostały zastąpione przez banki. Pamiętasz, ile ich w którymś momencie było przy Zwycięstwa?

Żartowaliśmy, że jakby dziecko przeszło się od banku do banku i w każdym dostało długopis reklamowy, mogłoby nimi pisać do końca szkoły.

– Mam zdjęcie, na którym bar mleczny traci szyld na rzecz baru z hamburgerami. W centrum miasta (uśmiech).



Oczyszczalnia ścieków „Jamno”
1999 r.

Byłem z gazety na otwarciu pierwszego amerykańskiego fast foodu w Koszalinie. Nie wypadało nie spróbować tych legendarnych kanapek.

– A kilka lat temu te same kanapki wyemigrowały ze ścisłego centrum.

Co sądzisz o koszalińskim ratuszu?

– Ratusz jest, jaki jest – zawsze powtarzam (uśmiech). Nie zmienimy go, nie warto krytykować. Zresztą, znam wiele osób, którym podoba jego nienachalna uroda. Jeżeli chodzi o zdjęcia, to po prostu trzeba umieć sobie z nim radzić. Dużo zależy od pogody i okoliczności. Jak coś dzieje się na placu, świeci słońce, to budynek fajnie wygląda w tle. Ważne, że ratusz jest inny: oryginalny i charakterystyczny. Szkoda, że placu nie udało się efektownie zagospodarować.

Nie podoba ci się fontanna z muzyką i światłami?

– Fontanna jest w porządku, podobnie jak ta w parku. Jednak bryła budynku z kawiarnią, jeżeli chodzi o estetykę, w niczym nie ustępuje ratuszowi. Na rynku, w ogóle w Śródmieściu, najbardziej brakuje mi klimatu, który powoduje, że w innych miejscach ludzie przysiadają na kawę, spotykają się i rozmawiają.

Banki, apteki i lombardy w centrum nie są domeną Koszalina.

– Handel uciekł do galerii – to wiemy. Miasto rozwija się energią mieszkańców, a w Koszalinie, mam wrażenie, ta energia nie wychodzi poza środowisko.

Wciąż mamy problem z tożsamością.

– Po tylu latach? Pamiętam pionierów, którzy po wojnie przyjeżdżali do Koszalina ze wszystkich stron świata. Czuli, że to nie ich ziemia, bo nie pochowali w niej przodków. Ale teraz? W dorosłe życie weszło drugie pokolenie powojenne, które urodziło się w Koszalinie.

Co z tego wynika?

– Młodzi ludzie utożsamiają się z tym miejscem, są tu od dziecka. Korzenie zapuścili ich dziadkowie, a rodzice zbudowali trwałe relacje. Wystarczy przełączyć się na tryb aktywności; dla siebie i dla innych.

Mówisz tak, jakbyś nie miał do czynienia z młodymi.

– Stąd wiem, że w młodym pokoleniu jest wielu ludzi, którzy chcą zmian. Wystarczy może poczekać aż będą mieli więcej do powiedzenia? W Koszalinie dokucza mi brak drzew. Widziałeś

na moich zdjęciach, ile ich wszędzie było. Wciąż jesteśmy miastem zielonym, ale w parkach, przy ulicach, na prywatnych posesjach i terenach należących do instytucji, drzew ubywa.

Zgoda na wycinki to był wyrok na naturze.

– Z tego, co widziałem, obrońców drzew było niewielu, głównie przedstawiciele organizacji proekologicznych, natomiast tych, którzy wynajęli piliarza, żeby ściął to, co od dziesięcioleci im przeszkadzało, sam znam kilku.

Na szczęście natura odbiera tylko to, co straciła.

– Słaba pociecha, bo najpierw musi dojść do głosu, a na razie wciąż traci. Budowa, zresztą potrzebnej, eski do Poznania to kolejny przykład na to, że człowiek rozpycha się łokciami.

Czasami zmiany są niezbędne, czego przykładem dworzec PKP.

– Słyszałem, zostanie przebudowany. Dworzec kolejowy należy do grupy obiektów najczęściej przeze mnie fotografowanych.

Mimo słynnego niegdyś „Zakazu fotografowania”?

– Właśnie! O mały włos, a przez to trafiłbym do aresztu. Lata 80., stoję na górze na prawo od budynku, z aparatem na statywie i robię nocne zdjęcia. Kątem oka widzę, że zatrzymuje się gazik, wysiada milicjant i oczywiście z krzykiem, że tu nie wolno fotografować. Odganiam się od niego jak od muchy: „Panie, idź pan sobie, daj mi pan święty spokój”. Ale widzę, że facet nie odpuszcza.

Im niższa szarża, tym większa zapalczliwość.

– To w moim przypadku było odwrotnie (uśmiech). Okazało się, że to był pułkownik czy major, w każdym razie nadepnąłem mu na odcisk.

Wezwał posiłki do fotografa?

– Nie mija kwadrans, podjeżdża patrol. To samo, co wcześniej: „Zakaz, nie wolno, zabronione”. Pytam mundurowych, gdzie mają w ustawie zapis, że dworca nie wolno fotografować. A oni swoje.

Czyli wiedziałeś, że jesteś na prawie?

– Wiedziałem od dawna. Czasami warto uzbroić się w wiedzę. Wspomniany przez ciebie zakaz fotografowania nie dotyczył dworca.

A czego?

– Rozjazdów, składów pociągów, wagonów specjalnie oznaczonych, infrastruktury technicznej kolei. Dworzec można było fotografować. Budynek został uwieczniony na zdjęciach pocztówek.

Jak uniknąłeś dotyka?

– Gadaliśmy i gadaliśmy, w końcu dali mi spokój, ale chyba ich nie przekonałem. Dla milicji zakazy to była komfortowa rzecz. Kontekst nieistotny, zakaz to zakaz i z miejsca „Dowodzik proszę”. Podobną sytuację miałem na targowisku, też przed transformacją, gdy rynek był jeszcze naprzeciwko klubu „Bałtyk”.

To było jedno z najciekawszych miejsc w Koszalinie. Regularnie pisałem o tym, co tam się działo, w myśl ukonstytuowanej w redakcji zasady: „Wtorki i piątki – tematów początki”.

– Dobrze (uśmiech). Dla mnie to była przedziwna sprawa. Robię zdjęcie, pochodzi facet w jakimś dziwnym mundurze i oczywiście: „Nie wolno, proszę nie robić zdjęć, zakaz”. Po iluś tam razach te słowa działały na mnie jak płachta na byka, tym bardziej że ciecie robili to bezmyślnie.

O co tym razem chodziło?

– Tego nigdy nie było wiadomo od początku. Każda sprawa miała, jak to się wówczas mówiło, „charakter dalece rozwojowy”. Dostałem od Jasia Urbanowicza z „Pobrzeża” zlecenie na czarno-biały fotoreportaż z targowiska. Robię zdjęcia, a tu wyskakuje ten przebieraniec. „Dlaczego nie wolno? – pytam grzecznie. – Nie rozumiem”. Facet: „A bo to, bo tamto, bo tak, bo nie, bo nie wolno!”. Skrącając: weszliśmy w dość niefortunny dialog.

A co wtedy fotografowałeś?

– Dobrze pytanie, później też się nad tym zastanawiałem i doszedłem do wniosku, że właśnie to, co fotografowałem, było podstawą interwencji. Zdjęcie gdzieś mi zginęło. Była na nim kobieta sprzedająca jajka pod słupem z napisem: „Sprzedaż świeżych jaj”, a nad tym wisiała tablica: „WC”.

Komunikat co najmniej dwuznaczny.

– Zgadza się, też tak pomyślałem. Legitymacja dziennikarska nie zadziałała. W końcu facet wezwał milicję, grożąc, że zabierze mi aparat i pojedziemy na komendę. W tym miejscu

znajdował się posterunek dzielnicowego, więc, przynajmniej na pierwszy rzut oka, sprawa stała się poważna.

Władza ludowa znalazła kolejnego wroga ludu.

– Jaki tam ze mnie wróg ludu? Wszystko, co fotografowałem, ta sama władza mogła później, a wcześniej pewnie też, zobaczyć w gazetach. Pojechałem na przesłuchanie. Skończyło się na tym, że Zbyszek Michta, ówczesny naczelny „Pobrzeża”, wstawił się za mną i wróciłem do szkoły, skąd na półgodzinnej przerwie wyskoczyłem na targowisko. Żeby raz-dwa zrobić zdjęcia i wrócić na zajęcia (uśmiech).

Dowiedziałeś się, jakie były kulisy tego zdarzenia?

– Facet, który zrobił raban, przyszedł z przeprosinami, ale nic więcej nie powiedział. Dopiero znajomi milicjanci wytłumaczyli mi, że mają rozkaz legitymowania każdego obcokrajowca, który cokolwiek fotografuje. Wprawdzie nie byłem cudzoziemcem, ale sam fakt, że miałem aparat obudził czujność dzielnicowego.

Miałeś pecha do tych interwencji.

– W rozmowach z milicjantami człowiek nie nadążał z wyłapywaniem głupot, które dla nich były naturalne. Podczas przesłuchania usłyszałem: „Pan fotografował te brudy i nieporządek na targowisku, a tak nie można”. Gdy zapytałem, czy nie lepiej po prostu tam posprzątać, gość miał minę kogoś, komu świat zawalił się na głowę.

Tymi uwagami burzyłeś ich wizję systemu.

– Chóry Polonijne. Robię na dworcu zdjęcia nowo przybyłym zespołom. Podchodzi do mnie dwóch facetów, wykręcają mi ręce do tyłu, a jeden z nich mówi: „Co pan robi? Czy pan nie wie, że jest zakaz?”. „Panowie, jestem w pracy, co z wami?! – wyjaśniam. – Dajcie spokój!”. Okazało się, że byli z obstawy festiwalu. Jak dowiedzieli się, że robię foty dla organizatorów, poprawili na mnie kurtkę i zniknęli.

Obawiam się, że pod tym względem niewiele się zmieniło.

– Robię zdjęcia osiedla, które stoi naprzeciwko jednostki wojskowej. Opieram się plecami o mur koszar, stawiam stopę na murku, żeby mieć lepszy widok. Wartownik wzywa zmotywowany patrol WSW. Tłumaczę żołnierzom, że nie jestem szpiegiem (uśmiech).

To i tak dobrze, że nie zabrali filmu.

– Mogło być i tak. Przy przeglądzie zrobionych zdjęć na cyfrze wszystko widać, ale kiedyś klisza była zamknięta, więc dodatkowy problem. Żołnierze mieli dylemat, jak się do niej dostać. Przypomnieli sobie, że mają w jednostce chemię, więc film wywołają i – jeżeli nie będzie zastrzeżeń – oddadzą mi gotowe zdjęcia. „Panowie – wyjaśniłem. – W środku jest slajd kolorowy, prędzej go zniszczycie niż wywołacie”. Widocznie nie mieli innego pomysłu, bo pomruczeli i puścili mnie.

Dawniej pół miasta należało do wojska.

– Pół miasta i tereny w Rosnowie, w Zegrzu, w Unieściu, w Łazach. A o ilu nie wiedzieliśmy? Z armią najlepiej było i jest żyć w zgodzie.

Zagłędałeś w tamtych latach na Rokosowo?

– Nie miałem kontaktów. Wiele lat później ze zdumieniem odkryłem, że powstało tam i wciąż rozrasta się gigantyczne osiedle. Pamiętam natomiast utarczki dzielnicowe, też to mieliście?

Chłopcy z Niepodległości zwotywalili pod wiadukt rówieśników z Gierczak. Do krwi, na gołe pięści.

– My walczyliśmy z Lechicką. Najwyraźniej te starcia mamy we krwi. Każda generacja z kimś walczyła.

Z gitowcami z „trójkąta” w odwodzie, mieliście przewagę z każdym.

– Wiesz, niekoniecznie (uśmiech). Tam ludzie żyli własnym rytmem. Angażowali się, owszem, ale tylko w swoje sprawy. Jak już opuszczali kwatery, to musiało dziać się coś poważnego.

Miałeś u nich plecy?

– Wtedy jako dzieciak tego nie czułem i nie doświadczyłem. Po prostu żyliśmy obok siebie, znaliśmy się z widzenia. Dopiero w dorosłym życiu te znajomości bardzo mi się przydały.

Opowiadaj.

– Wieczór, zmrok, park, klasyka. Idę z aparatem, mijam ławkę, podnosi się bandzior. Widać, że szykują się trudne pytania. Z ławki sąsiedniej ktoś wstaje, powoli do nas podchodzi

i pyta bandziora: „Ty wiesz, kogo zaczepiasz?”. Dopiero po dłuższej chwili rozpoznaję podniszczoną życiem twarz znajomego z „trójkąta”. Odszedłem, oni zostali. Usłyszałem tylko przekonujące argumenty za tym, żeby ten pierwszy wrócił na swoje miejsce.

Te twarze wciąż można spotkać, mam to samo.

– Wytatuowany kark w koszulce na ramiączkach, napakowany, chociaż już nie te lata, wypytuje naszą przeziętą sekretarkę w „elektroniku”, panią Ninę, o wyniki egzaminu córki. Nina ze stoickim spokojem coś mu tłumaczy. Kiedy pojawia się w sekretariacie, facet odwraca się do mnie, zaczyna kojarzyć, otwiera ramiona i krzyczy: „Krzysiek, k..., dawnośmy się nie widzieli!”.

Kumpli zwykle się nie wybiera.

– Wyobraź sobie minę pani Niny.

Rejonem podwyższonego ryzyka była dla nas Grunwaldzka.

– Ta Grunwaldzka?

Przypuszczam, że to straszenie Grunwaldzką było jedną z wielu ówczesnych legend miejskich. Ale znałem paru zakapiorów, którzy tam wracali z odsiadki. „Mówi się” – to był wytrych do uwiarygadniania plotek.

– O, tak. Mówiło się, że gdzieś tam mieszkają przesiedleńcy z akcji „Wisła”, tam menele przerzuceni z najgorszej dzielnicy, chociaż nikt dokładnie nie wiedział, skąd, a jeszcze gdzie indziej esbecja i dygnitarze.

Która część miasta zmieniła się najbardziej?

– Osiedle „Północ”. W drugiej kolejności Unii Europejskiej. Tam były łąki, ogrody i pola. Te obszary trudno poznać.

Gdzie można zrobić najciekawsze zdjęcia?

– W centrum, mam na myśli dosłownie kilkanaście ulic. Wiesz, Koszalin to nie jest miasto plenerowe. W kraju są takie, do których zjeżdżają fotograficy, żeby zrobić każdą rynną, bo raz, że zabytkowa, dwa, że efektowna, a trzy, że pięknie komponuje się z sąsiednią zabudową.

A gdzie u nas można jechać w ciemno?

– Na Górę Chełmską. O każdej porze roku, o każdej porze dnia. W nocy jest odrobinę za ciemno na zdjęcia, a lamp w lesie, siłą rzeczy, niewiele, chociaż stoją przy wejściach. Góra pięknieje jesienią i wiosną, ma niezwykle bogatą kolekcję gatunków drzew, które efektywnie dzielą się z obiektywem swoją wielobarwnością.

Największe fotograficzne rozczarowanie?

– Nie wszystkie miejsca dobrze się fotografują. Pojechałem na wspomniane osiedle Unii Europejskiej i nic mnie tam nie zainteresowało. Brak klimatu, nie znalazłem punktu zaczepienia. Nic.

Bo tam tylko domy, szeregi nowoczesnej zabudowy.

– Inny fotograf, o innej porze dnia, w innym nastroju i z innym nastawieniem, może coś by tam odkrył, znalazł, gdzieś się zatrzymał, coś zrobił. Wiele interesujących zdjęć powstaje trochę przypadkowo.

W ogóle przypadek to źródło cennych aktów twórczych.

– Przypadek to jedno, ale też trzeba umieć słuchać siebie. Czasami coś podpowiada, gdzie stanąć, co zobaczyć. W Koszalinie są miejsca, których na co dzień nie doceniamy. Weźmy park.

Z tysiącem drzew, mimo że narzekasz na ich brak.

– W parku znajdziesz wszystko, czego potrzebuje dobry plener: drzewa, wzniesienia, wodę, schody, architekturę z zabytkami, pomniki. Chociaż drzew i tu ubywa. Pogoda, zwłaszcza orkany, nie sprzyjają naturze. Drzewa, które przeżyły dziesiątki, a może setki lat, pękają jak ołowki albo wyginają się jak plastelina. Na to nie ma żadnej rady. Aura i czas robią swoje.

Park to jedno z twoich ulubionych miejsc?

– O każdej porze lubię robić tam zdjęcia. Ze szkoły mam blisko.

Przy którym drzewie zatrzymujesz się najczęściej?

– Przy „elektroniku” stoi moja brzoza. Jak schodzisz do Piastowskiej, po lewej stronie, w sąsiedztwie „grającej rzeźby”.

Podobno to brzoza karłowata i ma ponad sto lat. Nie znam się na tym, muszę polegać na specjalistach. Co ciekawe, mam przy niej zdjęcie, na którym mogą mieć nie więcej niż kilka lat, a brzoza wygląda dokładnie tak, jak teraz (śmiech).

Może to córka tamtej brzozy?

– W każdym razie jest tak samo malownicza i ma ten sam kształt, więc może jednak to także to samo drzewo?

Ten gatunek budzi we mnie niepokój. Odzywa się piekło skojarzeń i jakiś odruchowy lęk narodowy.

– Drzewa nie są niczemu winne, chociaż, jak teraz obserwuję te masowe wycinki, myślę sobie, że ktoś ma na ten temat inne zdanie.

Dotarło do mnie, że z fotografami najmniej kojarzą mi się zdjęcia z ich dzieciństwa. To coś, jak pierwsze buty szewca.

– Każdy jakieś miał lub ma (uśmiech).

Kto w dzieciństwie robił ci zdjęcia?

– Smiena leżała w domu, autorzy byli raczej przypadkowi. Kiedyś nie było zwyczaju, żeby wszystko obfotografować. Pamiątki też powstawały przypadkowo. Jak ktoś o tym pomyślał, sięgał po aparat.

Pamiętam modę na integrację społeczną z lat 70. Władza koniecznie chciała towarzyszy i obywateli ze sobą zespać. Na wzniesieniach przy amfiteatrze organizowano festyny i kiermasze. Kolejki ustawiały się po kiełbaski, piwo, ale też po książki, pocztówki z miastem.

– Bez mediów społecznościowych i telefonów komórkowych wszyscy wiedzieli, gdzie i o której będzie festyn, a niektórzy nawet, o której dokładnie przywiozą piwo. Każda władza ma inną metodę na przekonanie do siebie ludzi, ale z naszych wspólnych doświadczeń wynika, że wyszynek zawsze działa niezawodnie. Przychodziły tłumy, stały kolejki – tak było, wszystko się zgadza.



Parking przy amfiteatrze
1983 r.

Nikt nie machał: „Proszę nie robić zdjęć, nie życzę sobie!”?

– Zdarzało się, ale rzadko. Wiele lat później, jak robiłem zdjęcia do „Głosu”, niekiedy ludzie ostentacyjnie odwracali twarz od obiektywu. Nie chcieli, rozumiem to, każdy ma inny powód. Fotka zrobiona na siłę przestaje mnie interesować.

Ludzie wciąż spotykają się, ale z innym nastawieniem.

– Wszyscy mamy mniej czasu wolnego od zajęć – to może być powód. W latach, które wspomnamy, większość ludzi po pracy po prostu odpoczywała. Na zdjęciach mam również późniejsze wydarzenia, które przyciągały tłumy. Na stadionie „Bałtyku” odbyło się kilka nocy świętojańskich. Jak wchodziliśmy do Unii, koszalinianie spotkali się przy amfiteatrze.

Pamiętam też protesty w obronie statusu miasta wojewódzkiego.

– Batalia ciągnęła się kilka lat, a i teraz czasami słyszę, że ktoś nawołuje do powrotu dawnych granic województw. Mam to wszystko. Dokopałem się też do zdjęć plakatów, które rozwieszali eurosceptycy. Nie będę cytował tych hasel.

Czy Koszalin to miasto wdzięczne do fotografowania?

– Lubię Koszalin, to moje miasto rodzinne. Nie zawsze i nie wszędzie warto podnosić aparat, ale ogólnie nie mam powodów do narzekania.

Wystarczy wiedzieć, gdzie stanąć?

– To najważniejsze (uśmiech).

Jak dzisiaj fotografujesz Koszalin?

– Trochę dla przyjemności, trochę na zlecenie (uśmiech).

Pytam o twoją metodę na Koszalin.

– Nie mam żadnej. Idę i robię; co ma być, to będzie. Od dawna nie nastawiam się na nic, bo fotograficznie niewiele da się przewidzieć. Teraz więcej robię przydasiów. Nigdy nie wiadomo, co, komu i do czego się przyda.

A do czego mogą się przydać?

– Zadzwoiła do mnie duża agencja z prośbą o trzydzieści zdjęć z Połczyna Zdroju. Wyjaśniłem, że wyślę, co mam, ale nie wiem, czy coś z tego wybiorą. Zasugerowałem, że może

zrobię coś nowego, aktualnego. Ostatecznie umówiliśmy się na sto zdjęć. Po dwóch miesiącach drugi telefon z informacją, że w sumie biorę czterdzieści. Wcześniej padło pytanie, czy chcę negocjować honorarium. Mogłem przyjąć stawki agencji, na co zgodziłem się z ciekawości. Jak zobaczyłem przelew, spadłem z krzesła.

Wyobrażam to sobie.

– Innym razem zadzwonił gość, który zamówił u mnie zdjęcia do gazety ukazującej się na pokładach samolotów i dla pasażerów LOT-u. To zlecenie także wspominam z dużą radością. Wiesz, bo to jest tak, że fotografowie też chcą godnie żyć. A stawki, na przykład na rynku lokalnym, nie zawsze były adekwatne do naszego wkładu pracy.

Odnoszę wrażenie, że w krajach, które przeżyły socrealizm, nie ma tradycji dbałości o dobra i prawa do własności intelektualnej.

– Pora, żebyśmy nauczyli się tego. Nie można wymagać produktu najwyższej jakości, płacąc za niego najniższą stawkę. Poza tym w dużej części Europy obowiązują te same przepisy prawa. Mieliśmy dość czasu, żeby przestawić na inne myślenie.

Wyjdzie na to, że ciągle na coś narzekamy.

– Bo jest na co, niestety, wciąż jest na co. Na szczęście to wszystko mija, kiedy tylko wyjdę z domu. Zabieram aparat i idę przed siebie. Warto, zamiast własnych myśli, posłuchać głosów natury. Ona nie skarży się, chociaż miałaby dużo więcej powodów do lamentu.

Twoja mama wiedziała, co robi.

– Jabłko nie pada daleko od jabłoni.



↓ fot. 2 | str. 30

Amfiteatr
1975 r.



← fot. 1 | str. 30

Festiwal Chórów Polonijnych
1976 r.

↓ fot. 3 | str. 31

Amfiteatr
lata 2000



fot. 4 | str. 31 →

Amfiteatr
1983 r.



fot. 6 | str. 32 →

Amfiteatr
lata 90. XX w.



↑ fot. 5 | str. 32

Amfiteatr
2002 r.

fot. 7 | str. 32 →

Amfiteatr
lata 90. XX w.





↑ fot. 8 | str. 33

Hotel „Arka”
2000 r.



↑ fot. 9 | str. 33

Ulica Kaszubska
lata 90. XX w.



↑ fot. 10 | str. 34

Siedziba Państwowej Straży Pożarnej,
ul. Kazimierza Wielkiego
lata 90. XX w.



← fot. 11 | str. 34

Siedziba PKO,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.



← fot. 12 | str. 34

Siedziba Państwowej Straży Pożarnej,
ul. Kazimierza Wielkiego
lata 90. XX w.

fot. 14 | str. 35 →

Zabytkowa kamienica,
ul. Bolesława Chrobrego
lata 90. XX w.

↓ fot. 13 | str. 35

„Domek Kata”,
ul. Grodzka
lata 90. XX w.





↑ fot. 16 | str. 36

Muzeum Okręgowe,
„Pałac Młynarza”
lata 2000

↑ fot. 17 | str. 36

Muzeum Okręgowe,
„Pałac Młynarza”
lata 2000

← fot. 15 | str. 36

Muzeum Okręgowe,
„Pałac Młynarza”
lata 2000

fot. 19 | str. 37 →

Muzeum Okręgowe
1982 r.

↓ fot. 18 | str. 37

Muzeum Okręgowe
1990 r.



fot. 20 | str. 38 →

Skansen w Muzeum
w Koszalinie
2000 r.





← fot. 21 | str. 39

Skansen w Muzeum
w Koszalinie
2000 r.



← fot. 22 | str. 39

Skansen w Muzeum
w Koszalinie
2000 r.

fot. 23 | str. 39 →

„Klub pod Żółtą Trąbką”,
ul. Racławicka
lata 90. XX w.





← fot. 24 | str. 40

Ulica Wróblewskiego
lata 90. XX w.

↓ fot. 25 | str. 40

Podwórko,
ul. Barlickiego/Wróblewskiego
lata 90. XX w.



fot. 27 | str. 41 →

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.



↑ fot. 26 | str. 41

Budynek koszalińskiego „elektronika”,
ul. Jedności
lata 90. XX w.



fot. 28 | str. 41 →

Plac przed amfiteatrem,
widok na Zespół Szkół nr 9
lata 90. XX w.



← fot. 29 | str. 42

Kościół pw. św. Krzyża,
aleja Monte Cassino
2000 r. XX w.



← fot. 30 | str. 42

Ulica 1 Maja
2000 rok

fot. 31 | str. 43 →

Budynek TBS,
ul. Wenedów
2000 r.







↓ fot. 33 | str. 44

Siedziba dawnego Urzędu Wojewódzkiego
w Koszalinie
lata 90. XX w.



← fot. 32 | str. 44

Wieża widokowa,
Góra Chełmska
lata 2000

↓ fot. 34 | str. 45

Osiedle „Morskie”
1997 r.



↑ fot. 35 | str. 45

Osiedle „Morskie”
1997 r.

↓ fot. 36 | str. 45

„Torg”, ul. Pottawska
lata 90. XX w.



fot. 38 | str. 46 →

Szkoła Podstawowa nr 1,
ul. Zwycięstwa
2000 r.

↓ fot. 37 | str. 46

Szkoła Podstawowa nr 2,
ul. Krzywoustego
lata 90. XX w.



↓ fot. 39 | str. 47

Budynek Muzeum,
ul. Piłsudskiego
lata 90. XX w.



fot. 40 | str. 47 →

Ulica Wyspiańskiego
lata 2000



← fot. 41 | str. 47

Budynek I Liceum
Ogólnokształcącego
im. Dubois
lata 90. XX w.



← fot. 42 | str. 48

Budynek Radia Koszalin,
ul. Piłsudskiego
2005 r.



↑ fot. 43 | str. 49

Dworzec kolejowy
lata 90. XX w.



↑ fot. 44 | str. 49

Kompleks mieszkalno-handlowy,
ul. Zwycięstwa
lata 2000



← fot. 45 | str. 50

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.



↑ fot. 46 | str. 50

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.

fot. 48 | str. 51 →

Plac przed ratuszem
lata 90. XX w.



↑ fot. 47 | str. 51

Pawilony handlowe,
ul. Zwycięstwa
lata 80. XX w.



fot. 49 | str. 51 →

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

↓ fot. 50 | str. 52

Zajazd „Za Lasem”
1982 r.



↑ fot. 51 | str. 52

Wojewódzka Biblioteka Publiczna
1983 r.

fot. 52 | str. 53 →

Bałtycki Teatr Dramatyczny
1984 r.





← fot. 53 | str. 54

Ulica Matejki
2000 r.



↑ fot. 54 | str. 55

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

fot. 55 | str. 55 →

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.



fot. 56 | str. 55 →

Ulica Piłsudskiego
lata 90. XX w.





← fot. 57 | str. 56

Przystanek przed dworcem PKP,
al. Armii Krajowej
lata 90. XX w.

↓ fot. 59 | str. 56

Postój taksówek przed katedrą
lata 2000



← fot. 58 | str. 56

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.



↑ fot. 60 | str. 57

Skwer przy restauracji „Fregata”
2003 r.



↑ fot. 61 | str. 57

Ulica Stawisińskiego
2007 r.



← fot. 62 | str. 58

Aleja Armii Krajowej
z widoczną wieżą kościoła
Podwyższenia Krzyża Świętego
2000 r.



← fot. 63 | str. 58

Rondo przy ulicach Morskiej
i Bohaterów Warszawy
2000 r.

↓ fot. 64 | str. 58

Ulica Wróblewskiego
lata 90. XX w.





↑ fot. 65 | str. 59

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

fot. 66 | str. 59 →

Plac Bojowników PPR
lata 80. XX w.





↑ fot. 67 | str. 60

Kaplica pw. św. Gertrudy
lata 90. XX w.

fot. 68 | str. 60 →

Księgarnia w kaplicy
pw. św. Gertrudy
lata 2000





↑ fot. 69 | str. 61

Wyburzony kościół Metodystów,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.

fot. 71 | str. 61 →

Wnętrze
kościół Metodystów
lata 90. XX w.

← fot. 70 | str. 61

Wyburzony kościół Metodystów,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.





← fot. 72 | str. 62

Kaplica cmentarna,
ul. Gnieźnieńska
2000 r.



↑ fot. 73 | str. 63

Cerkiew prawosławna
pw. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy,
ul. A. Mickiewicza
lata 90. XX w.

fot. 74 | str. 63 →

Cerkiew prawosławna
pw. Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy,
ul. A. Mickiewicza
lata 90. XX w.





↓ fot. 75 | str. 64

Kościół pw. Świętego Wojciecha,
ul. Zwycięstwa
2000 r.



← fot. 76 | str. 64

Kościół pw. Świętego Wojciecha,
ul. Zwycięstwa
2000 r.



fot. 79 | str. 65 →

Pawilony przed katedrą,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.

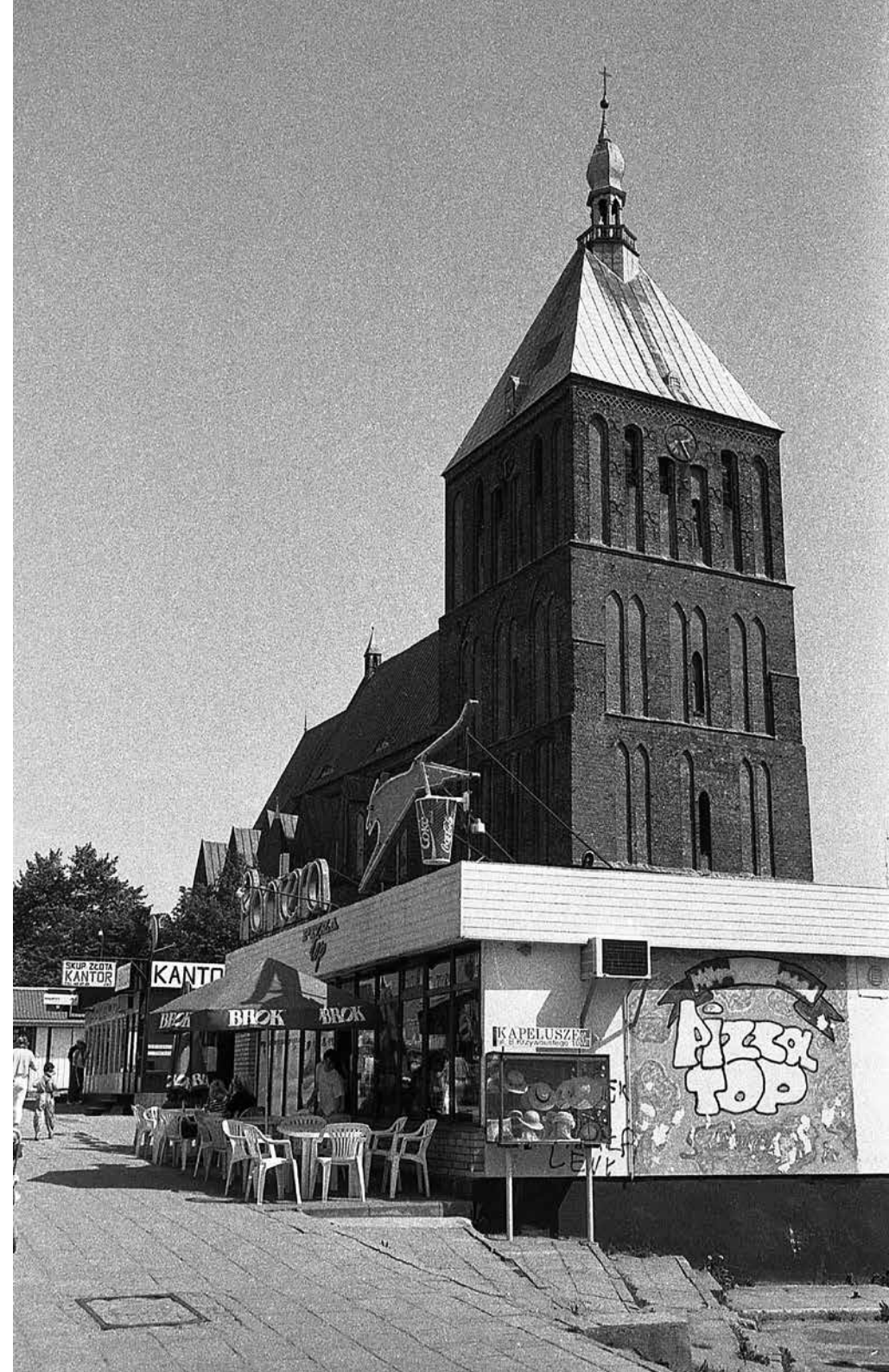
← fot. 77 | str. 65

Dom Handlowy „Saturn”
lata 80. XX w.



← fot. 78 | str. 65

Plac Bojowników PPR
lata 80. XX w.





← fot. **80** | str. **66**

Panorama Koszalina
lata 90. XX w.

↓ fot. **81** | str. **66**

**Wykopiska archeologiczne,
ul. Zwycięstwa**
lata 90. XX w.





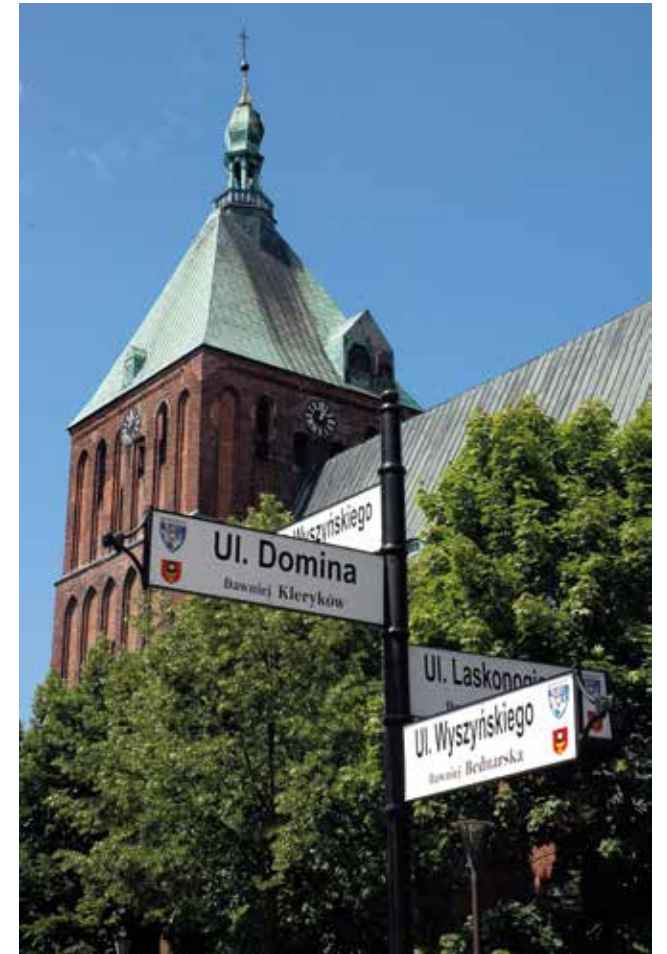
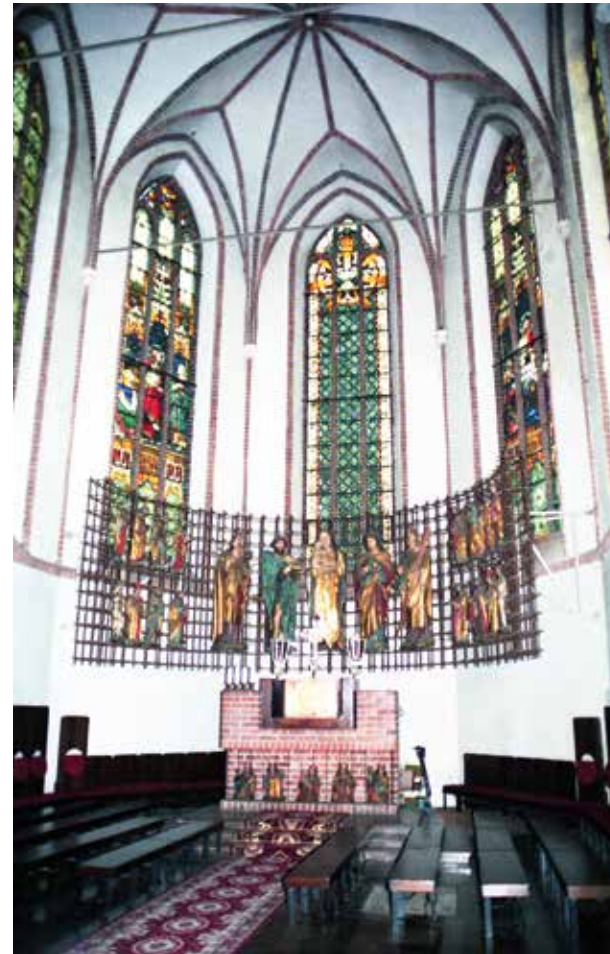
↑ fot. 82 | str. 67

Wieża kościoła pw. św. Józefa i katedry
pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
lata 90. XX w.

↓ fot. 83 | str. 67

Widok z ratusza
na Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.





↑ fot. 85 | str. 68

Wnętrze katedry
pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
lata 2000

↑ fot. 86 | str. 68

Katedra pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
lata 2000

← fot. 84 | str. 68

Widok na katedrę
pw. Niepokalanego Poczęcia NMP,
ul. Laskonogiego
lata 2000



fot. 88 | str. 69 →

Kościół pw. Ducha Świętego
2000 r.

← fot. 87 | str. 69

Festiwal Chórów Polonijnych,
kościół pw. Ducha Świętego
2000 r.





← fot. 89 | str. 70

„Kapeliada”, plac przed ratuszem
lata 90. XX w.

↓ fot. 90 | str. 70

Rynek Staromiejski
2000 r.





↑ fot. 92 | str. 71

Koszaliński ratusz
2003 r.



↑ fot. 93 | str. 71

Przysięga na Rynku Staromiejskim
lata 2000

← fot. 91 | str. 71

Koszaliński ratusz
lata 2000



← fot. 94 | str. 72

Koszaliński ratusz
2005 r.



↑ fot. 95 | str. 73

Koszaliński ratusz
lata 80. XX w.

fot. 96 | str. 73 →

Koszaliński ratusz
lata 2000





↑ fot. 97 | str. 74

Budowa Politechniki Koszalińskiej
lata 2000



↑ fot. 98 | str. 74

Politechnika Koszalińska
2005 r.

fot. 100 | str. 75 →

Hotel „Arka”
lata 2000



↑ fot. 99 | str. 75

Ulica Młyńska
lata 2000

fot. 101 | str. 75 →

Kaplica pw. św. Gertrudy
lata 2000





← fot. 102 | str. 76

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

↙ fot. 103 | str. 76

Panorama Koszalina
lata 90. XX w.





↑ fot. 105 | str. 77

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

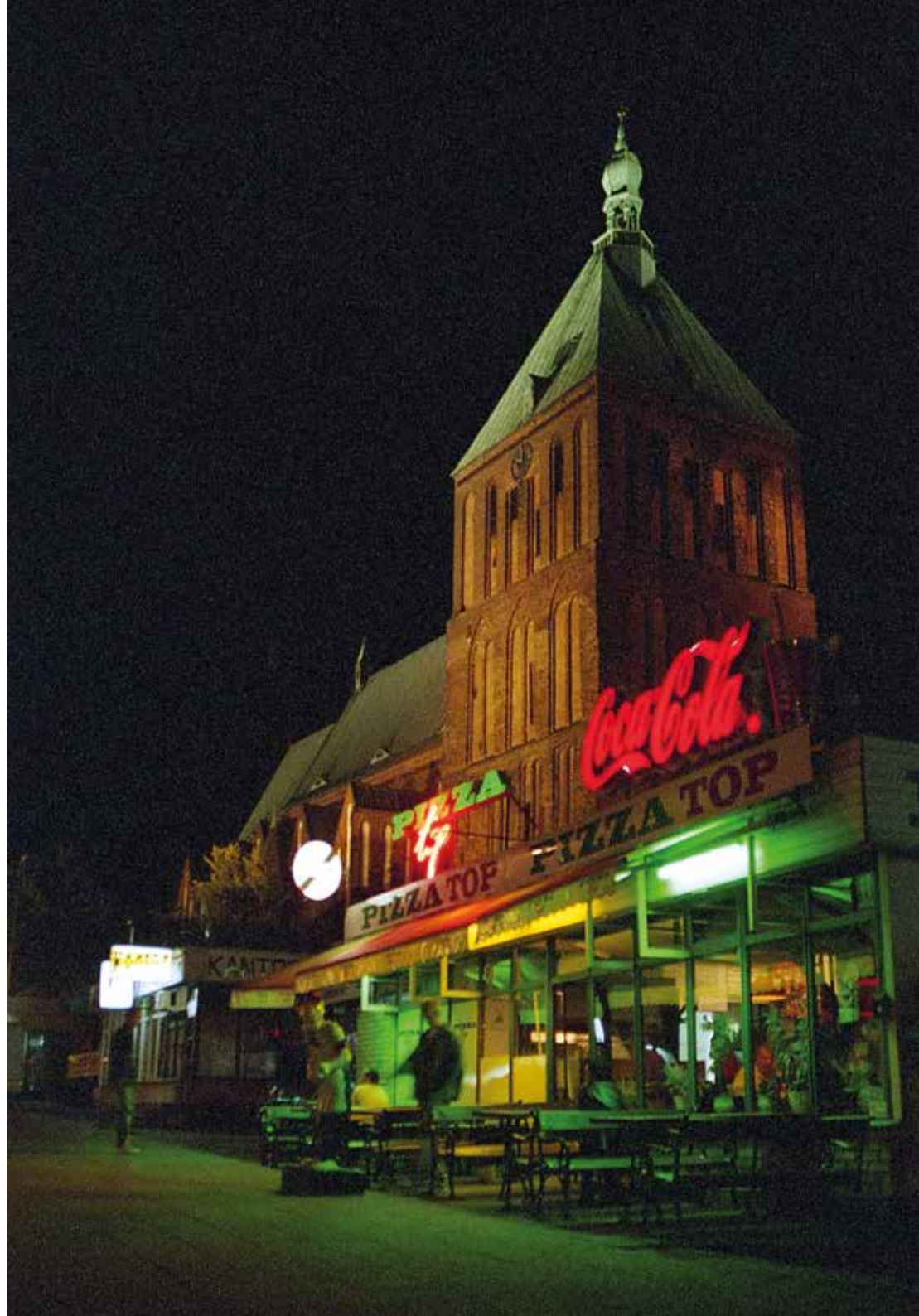


← fot. 104 | str. 77

Skrzyżowanie ulicy Zwycięstwa
i ulicy Młyńskiej
lata 90. XX w.

fot. 106 | str. 77 →

Katedra
pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
lata 90. XX w.



↓ fot. 107 | str. 78

Ulica Zwycięstwa
lata 2000



↑ fot. 108 | str. 78

Ulica Zwycięstwa
lata 2000

↓ fot. 109 | str. 78

Ulica 1 Maja
2000 r.



fot. 110 | str. 79 →

Budynek Radia Koszalin,
ul. Piłsudskiego
2003 r.





↑ fot. 111 | str. 80

Siedziba PZU, ul. Zwycięstwa
2003 r.

fot. 113 | str. 81 →

Panorama Koszalina
2020 r.

↓ fot. 112 | str. 80

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysława Hasiora
2015 r.







↖ fot. **114** | str. **82**

Ulica Dąbka
lata 2000

↑ fot. **116** | str. **82**

Panorama Koszalina
lata 2000

← fot. **115** | str. **82**

Ulica Dąbka
lata 2000



fot. 117 | str. 83 →

Panorama Koszalina
lata 2000



← fot. 118 | str. 84

Rondo Kardynała Ignacego Jeża
lata 80. XX w.

↓ fot. 119 | str. 84

Góra Chełmska
lata 2000





↑ fot. **120** | str. **85**

Góra Chełmska zimą
lata 2000



↑ fot. **121** | str. **85**

Góra Chełmska zimą
lata 2000



← fot. 122 | str. 86

Góra Chełmska
lata 90. XX w.



↑ fot. 123 | str. 87

Góra Chełmska
lata 2000

fot. 124 | str. 87 →

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysława Hasióra
lata 2000



fot. 125 | str. 88 →

Panorama Koszalina
lata 2000





← fot. 126 | str. 89

Panorama Koszalina
lata 2000



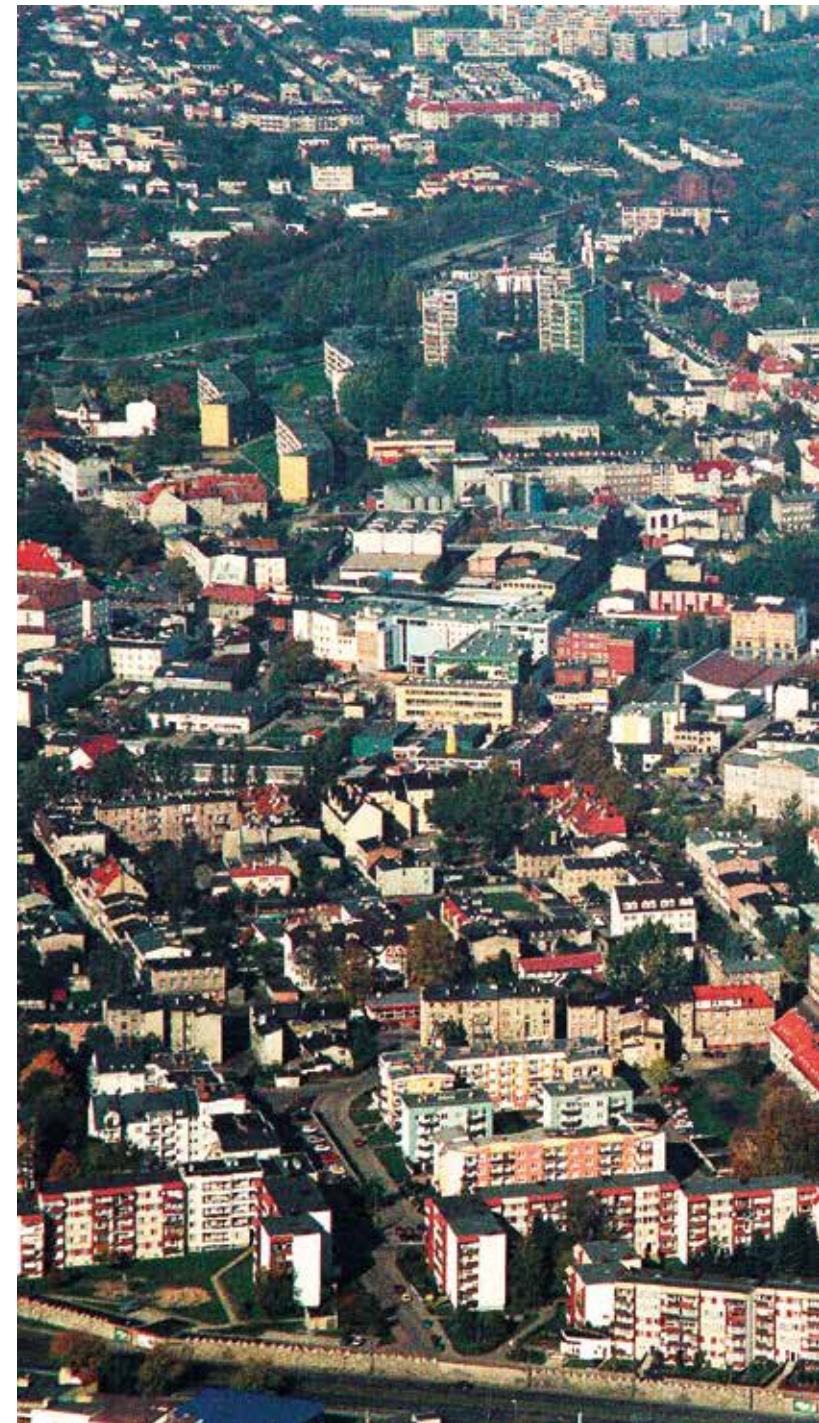
← fot. 127 | str. 90

Osiedle „Północ”
lata 90. XX w.



← fot. 128 | str. 90

Budowa szpitala wojewódzkiego
lata 90. XX w.





← fot. 129 | str. 91

Panorama Koszalina
lata 2000

↓ fot. 130 | str. 91

Osiedle „Północ”,
ul. Jana Pawła II
lata 2000





← fot. 131 | str. 92

Dworzec PKS,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.

↓ fot. 132 | str. 93

Ulica 1 Maja
lata 2000



fot. 133 | str. 93 →

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.



↑ fot. 134 | str. 93

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.



← fot. 135 | str. 94

Osiedle „Północ”,
ul. Jana Pawła II
1983 r.



fot. 136 | str. 95 →

Osiedle „Północ”
1983 r.



← fot. 137 | str. 96

Osiedle „Północ”
1983 r.

fot. 138 | str. 97 →

Osiedle „Północ”
1983 r.





Pomnik Cypriana Kamila Norwida,
Park Książąt Pomorskich
lata 2000



Fragment murów obronnych,
ul. Kazimierza Wielkiego
lata 90. XX w.



Tablica pamięci Janka Stawisińskiego,
skwer u zbiegu ul. Zwycięstwa
z ul. Janka Stawisińskiego
2017 r.



← fot. 142 | str. 100

Pomnik Ofiar Bolszewizmu przed katedrą,
ul. Zwycięstwa
1995 r.

↓ fot. 143 | str. 100

Pomnik Ofiar Bolszewizmu przed katedrą,
ul. Zwycięstwa
1995 r.



↓ 144 | str. 100

Pomnik Ofiar Bolszewizmu przed katedrą,
ul. Zwycięstwa
1995 r.

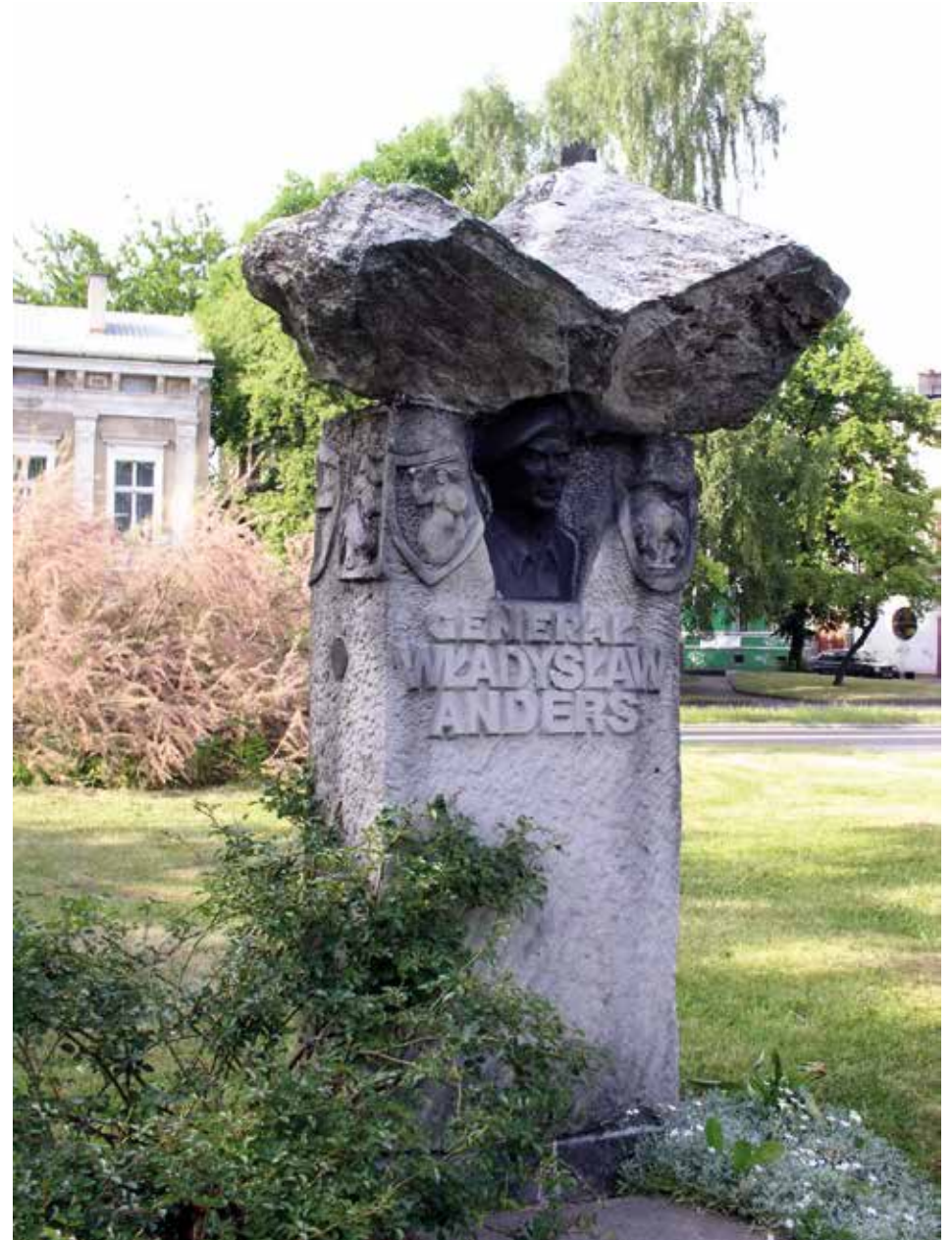


fot. 146 | str. 101 →

Pomnik
gen. Władysława Andersa,
ul. Zwycięstwa
lata 2000

↓ fot. 145 | str. 101

Tablica przed pomnikiem „Płonące Ptaki”
Władysława Hasióra
1995 r.





← fot. 147 | str. 102

Park Książąt Pomorskich
1999 r.



↑ fot. 148 | str. 102

Pomnik Adama Mickiewicza,
ul. 1 Maja
lata 2000



fot. 150 | str. 103 →

Rzeźba przed budynkiem
Biura Wystaw Artystycznych,
ul. Piastowska
lata 90. XX w.

↑ fot. 149 | str. 103

Rzeźba przed budynkiem
Biura Wystaw Artystycznych,
ul. Piastowska
lata 90. XX w.





↑ fot. 151 | str. 104

Rzeźba „Macierzyństwo”
Melchiora Zapolnika, ul. Zwycięstwa
1990 r.



↑ fot. 152 | str. 104

Tablica pamięci Ludwika Zamenhofa
na skwerze w pobliżu gmachu EMPIK,
ul. Zwycięstwa
lata 2000



↑ fot. 153 | str. 104

Pomnik gen. Władysława Andersa,
ul. Zwycięstwa
lata 2000



fot. 155 | str. 105 →

Pomnik
Władysława Sikorskiego,
ul. Dworcowa
2005 r.

↑ fot. 154 | str. 105

Pomnik „Rodła”,
plac przed Koszalińską Biblioteką Publiczną
lata 2000





↑ fot. 157 | str. 106

Osiedle „Morskie”,
skwer przy ul. Bosmańskiej
lata 2000

← fot. 156 | str. 106

Tablica pamięci
Kardynała Stefana Wyszyńskiego,
katedra pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
1990 r.

fot. 158 | str. 107 →

Pomnik „Więzi Polonii Zagranicznej z Macierzą”
przed Koszalińską Biblioteką Publiczną
lata 90. XX w.



↑ fot. 159 | str. 107

Rzeźba „Muzykanci” przed amfiteatrem
2005 r.





← fot. 160 | str. 108

Pomnik Karola Świerczewskiego,
obecnie nieistniejący,
ul. Dworcowa
1983 r.



fot. 162 | str. 109 →

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysław Hasióra
1999 r.

↑ fot. 161 | str. 109

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysław Hasióra
1999 r.





← fot. 163 | str. 110

Osiedle „Północ”
lata 80. XX w.

fot. 165 | str. 111 →

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysława Hasióra
lata 80. XX w.

↓ fot. 164 | str. 111

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysława Hasióra
lata 80. XX w.





← fot. 166 | str. 112

Pomnik Jana Pawła II
przed katedrą
lata 90. XX w.



↑ fot. 167 | str. 112

Pomnik Jana Pawła II przed katedrą
lata 2000

fot. 168 | str. 113 →

Katedra
pw. Niepokalanego
Poczęcia NMP
lata 90. XX w.





← fot. 169 | str. 114

Pomnik Jana Pawła II,
ul. Zwycięstwa
lata 2000



fot. 171 | str. 115 →

Pomnik Jana Pawła II
przed katedrą
2005 r.

← fot. 170 | str. 115

Pomnik Jana Pawła II
2005 r.





← fot. 172 | str. 116

Pomnik Jana Pawła II
przed katedrą
lata 90. XX w.



↑ fot. 173 | str. 116

Pomnik Jana Pawła II przed katedrą
lata 90. XX w.



← fot. 174 | str. 117

Demontaż pomnika
„Wdzięczności Armii
Radzieckiej”,
pl. Zwycięstwa
1998 r.



fot. 176 | str. 117 →

Pomnik
Józefa Piłsudskiego,
pl. Zwycięstwa
2004 r.

← fot. 175 | str. 117

Zdemontowany pomnik
„Wdzięczności Armii
Radzieckiej”,
pl. Zwycięstwa
2003 r.





← fot. 177 | str. 118

Pomnik Józefa Piłsudskiego,
pl. Zwycięstwa
2003 r.

↓ fot. 178 | str. 118

Kamienne lwy przed budynkiem
Delegatury Zachodniopomorskiego
Urzędu Wojewódzkiego
lata 2000





← fot. 179 | str. 119

Park Książąt Pomorskich
1990 r.



↑ fot. 180 | str. 119

Rzeźba „Muzykanci”
przed amfiteatrem
1985 r.



↑ fot. 181 | str. 119

Amfiteatr
lata 90. XX w.



← fot. 182 | str. 120

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



↑ fot. 183 | str. 120

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

fot. 185 | str. 121 →

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



↑ fot. 184 | str. 121

Ulica Piastowska
lata 90. XX w.





← fot. 186 | str. 122

Koszaliński ratusz
lata 90. XX w.



↑ fot. 187 | str. 122

Ulica Barlickiego
lata 90. XX w.

fot. 189 | str. 123 →

Kościół pw. św. Józefa
lata 90. XX w.



↑ fot. 188 | str. 123

Osiedle „Północ”, odśnieżanie ulicy
lata 90. XX w.





← fot. 190 | str. 124

Pomnik „Płonące Ptaki”
Władysława Hasióra
lata 90. XX w.



↑ fot. 192 | str. 125

Ulica Młyńska
lata 90. XX w.

← fot. 191 | str. 125

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



← fot. 193 | str. 126

„Drzewo Czarownic”
w Parku Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

↓ fot. 194 | str. 126

Park Książąt Pomorskich
1984 r.



fot. 196 | str. 127 →

Park Książąt Pomorskich
1990 r.

↓ fot. 195 | str. 127

Park Książąt Pomorskich
1990 r.





← fot. 197 | str. 128

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

fot. 198 | str. 129 →

Staw w Parku
Książąt Pomorskich
lata 2000





← fot. 199 | str. 130

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



fot. 200 | str. 130 →

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



↑ fot. **201** | str. **131**

Ulica Piastowska
lata 90. XX w.

fot. **202** | str. **131** →

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.





↑ fot. 203 | str. 132

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



↑ fot. 204 | str. 132

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

fot. 206 | str. 133 →

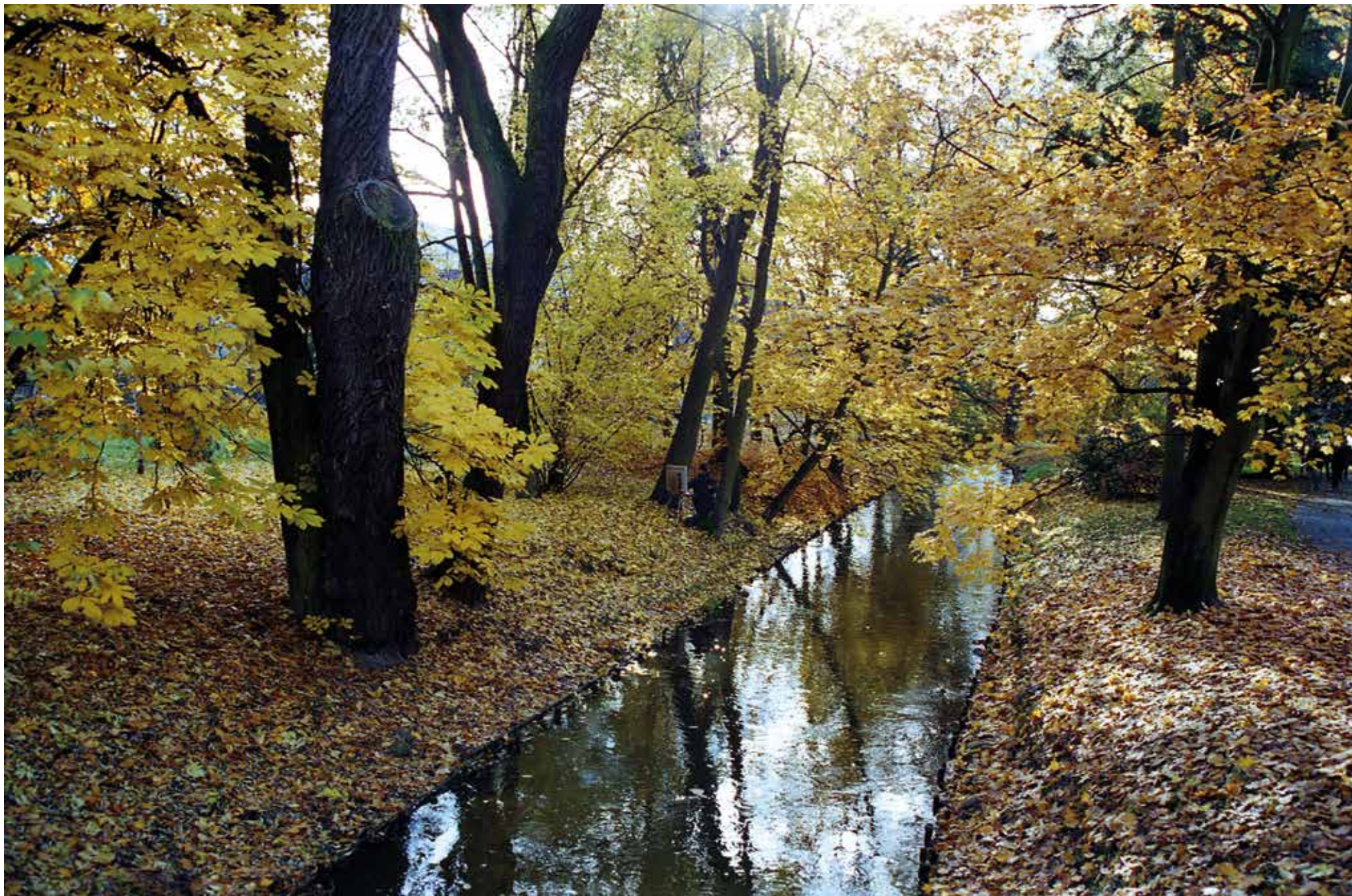
Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.



↑ fot. 205 | str. 133

Park Książąt Pomorskich
lata 2000





← fot. 207 | str. 134

Park Książąt Pomorskich
1984 r.

FOTOGRAFIA

Tajemnica milionu zdjęć



Kiedy kupiłeś pierwszy aparat fotograficzny?

– W latach 60., przed szkołą średnią. Z tym zakupem wiąże się pewna historia. Podobał mi się dźwięk akordeonu. Do tego stopnia, że rodzice postanowili wysłać mnie na naukę gry. Dzisiaj doceniam, jak ogromnym wysiłkiem finansowym był dla nich zakup akordeonu. Pozbierali pieniądze i dostałem instrument.

Krzysztof Sokołów grający na akordeonie!

– Nie uprzedzajmy faktów. Dostałem wspaniałego Weltmeistera i zostałem posłany do ogniska muzycznego klubu „Budowlani”. Ale jak to zwykle z muzyką u dziecka bywa: zapal prysł. Szczęśliwie, jadąc rowerem złamałam rękę i nie musiałem grać. Akordeon poszedł na sprzedaż.

A pieniądze z Weltmeistera na aparat?

– Tak jest! Marki Zorka i powiększalnik Krokus.

Rodzice pozwolili wydać krwawicę na radzieckie cudo techniki?

– Bez negocjacji. Wiesz, pewnie to przejaw czarnego humoru, ale mówiliśmy o tym: jedną ręką da się robić świetne zdjęcia...

... ale już na akordeonie nie pograsz.

– No nie da się (uśmiech). Nawet nie próbowałem.

Aparat kosztował tyle, ile akordeon?

– Prawie tyle samo. Rodzice już wiedzieli, że rośnie u mnie bzik fotograficzny. Poza tym przez pół roku miałem nieczynną rękę. Muzyka uleciała, byłem przeschęśliwy, że wreszcie mam własny aparat.

Jakie znaczenie ma ta własność dla fotografa?

– Jak buty! Albo samochód. Własny zegarek? Nie, to coś poważniejszego. Mam lepsze porównanie – jak spadochron. Skoczek nie zgodzi się na lot z obcym sprzętem, choćby nie wiem jak ufał jego właścicielowi i uczestniczył w składaniu spadochronu. Musisz mieć własny.

Fotograf przyzwyczaja się do aparatu?

– Bardzo, ale tylko do dobrego. Miałem sporo aparatów, wspominam tylko te, które służyły mi najlepiej i którymi zrobiłem najciekawsze zdjęcia. Fotograf, wiem po sobie, jak

już musi rozstać się z aparatem, to tylko zamieniając go na lepszy model. Przy czym nie wyobrażam sobie, żebym teraz został bez sprzętu.

Przecież masz aparat w telefonie.

– Może ze dwa razy w życiu go użyłem.

To coś jak ujma na honorze fotografa?

– Nie o to chodzi. Wielu fotografów równocześnie robi zdjęcia komórką. Widziałem, że wychodzą dobre. Po prostu nie przekonałem się do aparatu w aparacie (uśmiech). To coś, jak niezmiennie zaufanie do klasyki.

Jakie były twoje pierwsze zdjęcia zorką?

– Dużo eksperymentowałem. Pamiętam zdjęcia gdzieś z podwórka, nie wiem czy mojego. Jak człowiek dostanie własny aparat, robi wszystko, co ciekawego zobaczy. Na tym w fotografii polega zbieranie doświadczeń. Jak nie naciśniesz spustu milion razy, nie zrobisz w końcu tego swojego ważnego zdjęcia.

Zabrzmiało jak złota lekcja fotografii.

– Coś w tym jest. Oczywiście, przyjmijmy, że ten milion to liczba umowna. Ale bliska prawdzie.

Kiedy fotograf odczuwa nasycenie?

– Chyba nigdy.

Spełnienie w fotografii nie nadchodzi?

– Codziennie od nowa bierzesz aparat do ręki i patrzysz na ludzi i świat kadrem. Na co dzień nie mam czasu, żeby określać znaczenie tego, co robię. Nie myślę o tym, że coś dokumentuję. Podobnie jak nie bywam zmęczony robieniem zdjęć. Jakieś refleksje przychodzą po czasie, w wyjątkowych sytuacjach.

Zdarzyło ci się nie wykonać zamówionego zdjęcia?

– Z przyczyn obiektywnych, na przykład dlatego, że nie dojechałem na miejsce lub musiałem coś pilnego załatwić prywatnie, to może z kilka razy. Jestem człowiekiem słow-

nym, jak powiem, że coś zrobię, to muszę to zrobić. Parę razy zawiódł sprzęt, ale o ile nie był to event, wracałem i robiłem powtórkę. Nie żyjemy w Warszawie, zawsze można coś poprawić.

Jakie jest to twoje ważne zdjęcie?

– Nie mam jednego, lecz wiele wykonanych w różnych miejscach i okolicznościach, na różnych etapach pracy. Nigdy nie skupiałem się na robieniu zdjęć wyjątkowych, jak często mówimy: konkursowych. Jestem rzemieślnikiem. Wśród fotografii zrobionych dla przyjemności mam sporo prac, z których jestem zadowolony.



Jakie były twoje kolejne aparaty po zorze?

– Tak po kolei, to w domu była smiena, o tym wspominałem. Po zorze – kiev, ale już lepszy, w wersji profesjonalnej. W NRD kupiłem praktycę, po dożynkach pentacona six. Po pracy na tym sprzęcie zacząłem inaczej patrzeć na świat. Miałem później dwie pod rząd yashici i kolejnego kiewa, który był rosyjskim odpowiednikiem hasselblada na dwie kasety: czarno-białą i kolorową. A kiedy kupiłem pierwszego canona, pomyślałem, że lepiej być nie może (uśmiech).

Na cyfrę przeszedłeś z analogowego canona?

– To przechodzenie zajęło mi dłuższą chwilę. Miałem mavitę na dyskiety i olimpusa, wciąż robiłem też zdjęcia na filmach. Tak na dobre zapoznałem się z cyfrą dopiero, gdy kupiłem nikon D 70, który oczywiście wymagał dokupienia lampy i optyki. Przy nikonach już pozostałem.

Kolekcjonujesz obiektywy?

– Nie. Zwykle mam to, czego potrzebuję. Kiedyś fotograf standardowo dysponował pojedynczym obiektywem. Kupno i używanie na przykład dwóch było postrzegane jako przejaw dobrobytu. Wszyscy zaczynaliśmy od aparatu marzeń, różne były tylko jego marki. Z biegiem lat uzbrajaliśmy się w optykę, która zwiększa możliwości techniczne, ale też po prostu usprawnia robienie zdjęć.



„Podwórkowy basen”
lata 80. XX w.

Co zmieniło w fotografii zastosowanie autofokusa?

– Skala rewolucji była mniejsza, ale jej istota przypomina wprowadzenie technologii cyfrowej. Generalnie w obydwu zmianach chodziło o to samo, czyli o ułatwienie obsługi sprzętu, a co za tym idzie – o upowszechnienie samej fotografii. Nie potrzeba już lekcji u mistrza, żeby robić zdjęcia (uśmiech).

Znam fotografów, którzy świadomie nie używają ustawienia automatycznego.

– Obaj takich znamy, ale co z tego wynika? To sprzeciw wobec ewolucji, walka z wiatrakami. Użycie autofokusa to nic niestosownego, nawet dla fotografa z dorobkiem. Jaką masz skrzynię biegów w samochodzie?

Automatyczną.

– Czy to oznacza, że masz gorszy samochód od auta ze skrzynią manualną?

Nigdy tak o tym nie myślałem.

– Właśnie! Prawo wyboru pozostaje prawem, a nie obowiązkiem. Niech każdy z nas robi to, co uznaje za najlepsze dla siebie, bez wchodzenia w drogę innym. Zdjęcie to tylko, a nie aż zdjęcie (śmiej się). Niedawno obejrzałem jedną z moich wczesnych prac i byłem zaskoczony jej ostrością, dobrym kadrem.

Domyślałem się, że powstała bez autofokusa.

– Wtedy ułatwień jeszcze nie było. Jurek Łaryonowicz, pamiętam, gonił mnie za brak ostrości pierwszego planu. Używam autofokusa, ale nie zawsze, czasami automatyka oszukuje i wychodzi nie to, co chcę. Ale generalnie to oczywiście ogromne ułatwienie. Wiesz, ile nabiegałem się w życiu ze światłomierzem?

Pamiętam z dzieciństwa przyrząd: mieszczący się w dłoni zbiór tarcz o wspólnej osi z przeróżnymi wariantami światła, pogody, ustawienia kadru, rodzaju zdjęcia. Poprzez obracanie tarczami zgrywała się najlepsza z opcji.

– Wariactwo polegało na tym, że przed zrobieniem zdjęcia fotograf ustalał, w jakich warunkach je robi. Trzeba było przewidzieć wiele rzeczy, a wszystko dla jak najlepszej jakości. Miałem światłomierz Swierdłowski, kosztował krocie, ale wszystko mierzył, nic więcej nie trzeba było wiedzieć. Optyka w aparatach zmieniła się bardzo, z korzyścią dla fotografujących. Ludzie nie patrzą, co i gdzie robią, nie muszą kontrolo-

wać kadru, nie zwracają uwagi na pogodę, położenie słońca, rodzaj światła, na cienie i ustawienie postaci.

Jednak światło pozostaje najważniejsze.

– Ale to wiedzą ci, którzy chcą wiedzieć. Reszta po prostu naciska spust i co wyjdzie, to będzie, a jak nie wyjdzie, to też mała szkoda, bo emocje, które towarzyszą fotografii domowej, pamiątkowej, okolicznościowej, są ulotne. Większość fotografujących nawet tych zdjęć nie ogląda. Nikt niczego nie wywołuje, jak rozmawiasz z ludźmi o albumach, wyjmują telefon i pokazują foldery.

Córki mają tyle albumów ze swojego dzieciństwa, że nie potrafiłyby wszystkich razem unieść.

– Jesteś z innego pokolenia. Młodzi mają wszystko w telefonie.

Dlatego, jak telefon znika, pojawia się panika.

– Uzasadniona! To jak kiedyś portfel, pamiętasz? Kieszonkowiec w pociągu albo na dworcu kradł dokumenty i koniec podróży. A odtwarzanie wszystkiego trwało dłużej niż wyrobienie pierwszego dowodu.

Kto wywołuje, często skarży się, że zdjęcia blakną. Wielu operatorów oszczędza na dobrej chemii.

– Chemia jest tym w wywoływaniu zdjęcia, co światło przy jego robieniu. Z chemią fotograficzną pracowałem przez wiele lat, a i teraz zdarza mi się, więc wiem, co mówię. W druku przemysłowym liczy się każdy grosz zaoszczędzony na pojedynczym zdjęciu, bo tych zdjęć są miliony.

Mimo to warto wywoływać zdjęcia, tyle że w sprawdzonych laboratoriach.

– Warto, bo zdjęcia wciąż pozostają najlepszą i najtrwalszą pamiątką. Zwiedzający przywożą z wycieczek filmy, na których są tysiące klatek, ujęć. Co z tego? Zapis urlopu wpada do folderu „Gruzja” lub „Rzym” i na tym kończy się jego życie.

Idzie przepięcie, laptop pada, wspomnienia znikają.

– Nawet jeżeli przetrwają, ludzie nie mają czasu, żeby wracać do wspomnień tak zarejestrowanych. Filmy są długie, nudne, hermetyczne tematycznie. Zdjęcia masz pod ręką,

sięgasz, pokazujesz i o ile masz dobry aparat, wyobraźnię i trochę doświadczenia każdy mówi: „O rany, jak tam pięknie, zazdroszczę ci tych widoków!”.

Z tym, że te same zdjęcia w komputerze już wymagają obróbki.

– Wiadomo, inna ilość pikseli i filtry uszlachetniające w telefonach robią swoje, bo producenci sprzętu idą na efekt. W komputerze musisz nad obrazem popracować, nie każdy ma na to czas, ochotę i dobry program.

Podczas spisywania część z wcześniejszych fragmentów naszej rozmowy zniknęła mi bezpowrotnie.

– Nie żartuj! Co się stało?

Szkolny błąd po ponad trzydziestu latach pisania. Dwa pliki, ta sama nazwa. Pierwszy na pulpicie, drugi na dysku zewnętrznym, czyli kopia. Piszę do późna, zapisuję i idę spać. Rano sprawdzam pulpit, plik jest, w porządku, wersję z dysku mogę spokojnie usunąć, a nową zapisać. Usuwam, otwieram plik na pulpicie, a tam jest wersja sprzed dwóch dni.

– Groza, znam to. Żałoba ze wszystkimi fazami rozpaczy. Pierwsza myśl: „Jak to się mogło, k..., stać?!”.
(śmiech)

Dwóch specjalistów, pięć programów do odzyskiwania plików i nic. To znaczy nie do końca nic: plik z zaszyfrowanymi krzaczkami.

– Czyli wszystko od początku?

Nie wszystko i nie od początku. Wsiąknięta część środkowa. Żeby nie zniechęcić się do pisania, zacząłem od końca i doszedłem do punktu straty.

– Różnica jest taka, że miałeś nagranie z naszej rozmowy. Jak fotograf coś gubi, nie ma żadnego źródła.

Wiem, wielokrotnie widziałem akcje, w których fotograf tracił to, co robił przez parę godzin. Wychodziłem z pomieszczenia.

– Dlatego warto mieć porządek w plikach. Zawsze.

Najgorsze są błędy, które można było przewidzieć.

– W przypadku fotografii trzeba robić więcej, niż to konieczne.

O ile fotograf wie, co konieczne. W pracy wielu widzę przypadkowość.

– Masz rację, też to widzę. Fotografowie wychowani już na cyfrze, nie mówię tylko o amatorach, robią tyle ujęć, na ile pozwoli im sytuacja. Jeszcze odchodząc pstrykają. Statystyka podpowiada im, że w tej masie znajduje coś, co wykorzystają.

Ta technika sprawdza się przy dynamicznych zmianach w kadrze.

– Fotografowie robią to wszędzie, przy każdej okazji. Nazywam to „niepewnością ręki”, chociaż tu nie do końca chodzi o rękę. Ale oko też ma niewiele wspólnego z brakiem umiejętności.

Wracamy do punktu wyjścia: milion naciśnięć spustu.

– Chyba od tego nie uciekniemy (uśmiech). Ważne jest, powtarzam to każdemu, kto pyta, co chcesz sfotografować. Co konkretnie. Cyfra ogłupia, widzę to po sobie. Jak robiłem na szerokim, 12 klatek, wiedziałem, że trzy mogę poświęcić na ujęcie. Z tych trzech wybrałem jedną i do widzenia. Teraz łąpię się na tym, że robię więcej, bo wtedy wezmę kilka dobrych.

Przy bogatej mimice trzy ujęcia twarzy to za mało.

– Zgadza się, robienie jednego po drugim sprawdza się w sytuacji, gdy postać mówi, rozmawia, gestykuluje, twarz podlega nagłym zmianom. Wszystko, również w druku, jest ostre jak brzytwa. Odbiorca zobaczy każdy szczegół: błysk w oku, fakturę skóry, drobny grymas. A czystość obrazu możesz osiągnąć jedynie poprzez wiele prób.

Czy fotograf, żeby zrobić dobre zdjęcie, musi wyjść z tłumu?

– Niestety, tak. Dla wielu osób wyjście przed publiczność, ustawienie się tyłem do ludzi i robienie zdjęć to duży stres.

Nie miałeś z tym nigdy problemów?

– Nie. Nauczyłem się tego jeszcze w WDK-u. Przecież robię zdjęcia nie dla siebie, tylko dla osób, które nie mogą tego zobaczyć.

Wciąż zdarza się, że słyszysz: „Pan mi załania, pan usiądzie!”?

– Tak. Nie reaguję na to. Robienie zdjęć trwa góra kilka minut, cały koncert godzinę, czasami dwie. Fotograf nie może dać się sprowokować. Musi twardo zrobić swoje, jak trzeba, to wejść na scenę i poszukać dobrego ujęcia.

Co robisz, gdy inny fotograf utrudnia ci pracę?

– Kiedyś tego nie było. Zdarza się, że ktoś z aparatem, fotografujący dla siebie, wchodzi w kadr, przepycha się, zasłania lub stoi i patrzy, co zdarza się, gdy mamy do czynienia ze znanymi postaciami. Nie potrafię tego chamstwa pojąć. W podobnych sytuacjach, nie tylko mnie, puszczają nerwy.

A kiedy widzisz, że tak zachowuje się konkurencja?

– Opadają mi ręce (uśmiech). Tym bardziej cieszę się, że pewnych rzeczy już nie muszę. Dawniej bywało tak, że fotografowie pomagali sobie, wszyscy jechaliśmy na tym samym wózku. Wielokrotnie z koleżankami i kolegami wymienialiśmy się fotami. Zrobiłem temat, ale nie dojechałem w inne miejsce, więc szukałem kogoś, kto tam był. Znaliśmy się, pomagaliśmy sobie wzajemnie.

Fotoreporterów w Koszalinie jest coraz mniej.

– Nie tylko w Koszalinie. Generalnie gazet jest mniej, a w nich więcej fotografii ogólnych, także agencyjnych. Masz tytuł z pięcioma mutacjami regionalnymi. Co dzieje się wtedy ze zdjęciami?

Krążą po wszystkich wydaniach.

– Raz opłacone, bo w Polsce obowiązuje zasada, że zdjęcie przechodzi na własność redakcji, która może z nim zrobić, co zechce.

Lepsze są standardy światowe.

– Oczywiście, bo wtedy redakcja dokonuje zakupu zdjęcia do pojedynczego użycia w wydawnictwie. Każde kolejne jest płatne, cena spada, ale fotograf nie ma wrażenia, że ktoś handluje jego dobrem intelektualnym.

W wielu profesjach upadła solidarność zawodowa.

– Pamiętam: wydarzenie, tłum, ciężko aparat podnieść; ktoś stoi w miejscu, skąd ma idealny kadr. Kiwa ręką, podają aparat, a ona czy on robi nim zdjęcie. Nie zdarzyło się, żeby taka przysługa pozostała długo bez rewanzu.

Sentymentalizm wkrada się do naszej rozmowy.

– Wyczuwam go od pierwszych zdań (uśmiech). Trudno, żeby było inaczej, skoro obaj jesteśmy raczej na wylocie, niż wlocie (śmiesz).

W mediach, jak w sporcie, wiek zaczyna mieć znaczenie.

– Chyba tylko u nas. Na świecie doświadczony dziennikarz czy fotoreporter z dużym stażem pomaga młodym, ma w redakcji osobny status. W Polsce jest zwalniany, bo za dużo kosztuje, a w jego miejsce przychodzi młokos, który za 20 złotych pisze tekst lub robi zdjęcie na pierwszą stronę. Przecież to chore.

Nie mamy silnych mediów z długimi tradycjami.

– Ale są czytelnicy, chociaż ich też chyba coraz mniej.

To również kwestia tradycji. Przez dziesięciolecia polskie gazety były rozrywkowe lub partyjne. Brakowało opiniotwórczych.

– Stale zmienia się odpowiedź na najważniejsze pytanie: kto jest dla kogo – media dla czytelników czy czytelnicy dla mediów?

Media, zwłaszcza prasa, powinny kształtować opinię, a nie odpowiadać na potrzeby czytelników, a tak stało się, gdy gazetami zaczęli rządzić menadżerowie odpowiedzialni za sprzedaż. To zawsze wymaga rozważań i równowagi.

– Tak czy owak, bliżej nam niż dalej (uśmiech).

Znajdujesz w sobie ciekawość dla świata?

– Tak, wciąż na przyzwoitym poziomie, a nawet trochę entuzjazmu dla nowości. Nie ma natomiast we mnie zaufania dla niektórych zmian. Trochę jak staruszek zachowuję daleko idącą ostrożność.

Jak widzę opcję: „Aktualizacja”, zastanawiam się, czy ktokolwiek jeszcze pamięta, że lepsze jest wrogiem dobrego.

– Ustawiczne i obsesyjne, a co gorsze automatyczne, aktualizowanie wszystkiego, może poza mapami drogowymi i serwisami informacyjnymi, służy przypominaniu, kto od kogo jest zależny (uśmiech). Mam wrażenie, że coraz większa większość od coraz mniejszej mniejszości.

Czy to prawda, że ludzie częściej pamiętają zdjęcia, niż ich fotografa?

– Jak wiesz, gazeta codzienna żyje właściwie tylko dzień. Jutro nikt nie pamięta, co było w dzisiejszym wydaniu (uśmiech). To miłe, kiedy ktoś przypomina mi o fotografii sprzed lat: „Pamięta pan to zdjęcie...”.

Zawsze pamiętasz?

– Niestety, nie zawsze, ale staram się tego po sobie nie okazywać. Fotograf, który nie pamięta swoich zdjęć! Ale większość dobrych pamiętam.

Dlaczego nigdy nie miałeś wystawy?

– To nic nadzwyczajnego dla fotografa prasowego. Można nawet powiedzieć, że nasze wystawy są codziennie (uśmiech).

Jak reagowałeś na propozycje?

– Zwykle grzecznym pytaniem: „A po co?” (śmiech). Piotr, co miałem pokazać, skoro wszystko, co robiłem, prędzej czy później trafiło do gazet i folderów?

Każdy fotograf ma jeszcze coś na specjalne okazje.

– Sięgnę po większe działo: nie chciało mi się (uśmiech). Wystawianie swoich zdjęć zostawiłem na później.

Wiem, że kuratorzy mają na fotografów swoje sposoby.

– Najwyraźniej jestem wyjątkowo oporny. Nic na to nie poradzę. Jedną ekspozycję nawet już miałem poskładaną, częściowo wydrukowaną i przygotowaną. Brakowało dosłownie kilku prac, ale później coś nie wyszło, byłem zajęty, czułem, że nie chciałoby mi się pójść na wernisaż. Widzę po znajomych, że tego typu wydarzenia są dla nich ważne i nobilitujące. W wystawach zbiorowych uczestniczyłem dla towarzystwa.

Zdarzyło ci się oprotować sposób kadrowania zdjęcia?

– Dawniej rzeczywiście chodziło wyłącznie o kadrowanie, później także o obróbkę. Czasami czułem przerażenie i niesmak na widok tego, co powstało, a raczej zostało, z mojego zdjęcia, pomysłu – to nie skarga, lecz smutna rzeczywistość pracy z niektórymi grafikami.

Jak to wyglądało w praktyce?

– Łódź zmieniła kierunek, w którym płynęła, a na pokładzie przybyło kilka osób. Zdarzały się ingerencje jeszcze bardziej drastyczne.

Odmówiłeś kiedykolwiek realizacji tematu lub publikacji zdjęcia?

– Między innymi dlatego nie związałem się na stałe z żadnym medium. Gdybym to zrobił, na wiele rzeczy musiałbym godzić się wbrew sobie. Odpowiedź na obydwa pytania brzmi: tak.

W jakich okolicznościach?

– Zdjęcie osoby z niepełnosprawnością niepasujące do tematu tekstu. Pijani ludzie na ławce jako ilustracja do materiału o patologii. Dwuznaczne sytuacje, niezrozumiałe konteksty, nieoczywiste okoliczności. Coś podłego tkwi w wielu ludziach. Podchodzi do mnie kobieta, wskazuje na pijanego mężczyznę śpiącego na ławce i mówi: „Zrób pan zdjęcie temu pijusowi”.

Może chciała uwiecznić kolejny wyczyn męża?

– Niekoniecznie męża, bo gdy zapytałem: „A pani chciałaby, żebym w takiej sytuacji sfotografował pani męża?”, kobieta zasłoniła się torebką i prychnęła: „Pan żartuje! Mój mąż to człowiek niepijący”.

Czyli jednak bliźniemu na przekór, wbrew i po złości.

– Tacy jesteśmy, choć lubimy się wybielać. Fotografowani ludzie często reprezentują skrajne postawy. Człowiek odważny gaśnie i chowa głowę w ramionach, z nieśmiałego wychodzi lew. Aparat uruchamia autokreację, wiele osób chciałoby wyglądać lepiej niż w rzeczywistości.

Stąd popularność wszelkiego rodzaju filtrów i aplikacji.

– Tak jest od zarania dziejów. Jestem przekonany, że już w ściennych malowidłach jaskiniowych ich twórcy dokonywali pewnych korekt (uśmiech).

Rozumiem korekty, ale w mediach społecznościowych mamy do czynienia z inwazją porywaczy naturalności. Niemal wszyscy chcą być inni i stają się inni, czasami za cenę śmieszności.

– Czytałem, że w wielu kulturach kanonem kobiecej urody jest twarz pozbawiona rzęs i brwi. Wyobrażasz to sobie?

Powoli dochodzę do wniosku, że już wszystko jest możliwe.

– Bo jest! Fotografia przeżywa złotą erę. Nigdy wcześniej zdjęcia nie miały tak ogromnego znaczenia w przekazach medialnych. A z drugiej strony, powstają miliony fotografii, bez których świat byłby lżejszy i zdrowszy. Dlaczego ktokolwiek decyduje się na ich upublicznienie? Tego nie rozumiem.

Mając do wyboru, co fotografujesz najchętniej?

– Pejzaże, zwłaszcza w szerokim kontekście przyrodniczym. Bardzo lubię klasyczne foto-reportaże, także czarno-białe.

Jak reagujesz przy wszelkiego rodzaju wypadkach losowych?

– Pamiętam, kiedy na drodze z Koszalina do Połczyna z samochodu spadły przycięte fragmenty drzew. O mały włos, a te obałki przygniotłyby „malucha”. Nie przyszło mi do głowy, żeby zrobić zdjęcia, choć mogły wyjść fajne. Z innymi kierowcami zabrałem się do pomagania poszkodowanemu w „maluchu”. Nie mam ręki do robienia wypadków, bo nie umiem przejść obojętnie nad krzywdą ludzką.

Lepiej fotografuje się znajomych czy nieznajomych?

– Nieznajomych. Bliskich najtrudniej. Wtedy musisz dostosowywać się do ich próśb, uwag. Nieznajomych dobrze jest choć trochę znać, przynajmniej w zakresie punktów newralgicznych.

Co to znaczy?

– Dobrze wiedzieć, że ktoś lubi siebie z uśmiechem lub z marsową miną. Do zdjęcia woli stać i zdjąć okulary. Jeżeli tego nie wiesz, zachodzisz w głowę: „Dlaczego chce być bez nich w katalogu firmowym?”. Dla ludzi wizerunek to bardzo ważny element życia i pracy. Latami dbają o swój wygląd, fotografują się, żeby ocenić rezultat tych wysiłków. Czasami przydaje się drobne śledztwo wśród znajomych nieznajomego.

Czyli zdjęcie to jednak rodzaj opowieści o człowieku.

– Zawsze. Nawet jeżeli ktoś deklaruje, że zdjęcie to tylko wizytówka i nie ma dla niego większego znaczenia, warto pamiętać, że jakkolwiek komunikat o człowieku z jego fotografią to przykład całkowitego zaspokojenia ciekawości odbiorcy.

Kogo fotografuje się najłatwiej?

– Kogo – ma mniejsze znaczenie. Najłatwiej fotografuje się bez presji, zdając się na przypadek. Wbrew pozorom niełatwo fotografuje się ludzi obiektywnie ładnych, o pogodnych rysach twarzy, również dlatego, że są przekonani o swojej atrakcyjności i wkładają mniej wysiłku, by wyglądać lepiej niż przed lustrem. Twórczym i inspirującym wyzwaniem są ludzie o przeciętnej urodzie.

Jak fotografuje się ludzi starszych?

– Starość dla wielu twórców stanowi kanon piękna. Ludzie starsi często mają na twarzy wypisane swoje życie, przejścia. Można z nich czytać jak z blizn. Grymasy, miny, skrzywienie są w fotografii tym, co przyciąga uwagę.

Teraz ponad wszystko liczy się młodość.

– Architekci, moderatorzy i styliści tendencji, szczególnie w modzie i w zachowaniu, nie tolerują jakichkolwiek skaz na doskonałości, a młodość w pewnym sensie jest doskonała. Tymczasem dla fotografów na całym świecie charakterystyczne ryski są poszukiwanym potwierdzeniem oryginalności.

Problem polega na tym, że starość nie jest oryginalna.

– Ale już zmarszczki tak, jak najbardziej! (uśmiech). Starość, rozumiana fizycznie, nie jest, nie może i nie powinna być utożsamiana z brzydotą. Do tego zmierzam: starsi ludzie często uważają, że nie warto ich fotografować, mają obiekcje i obawy, krygują się, a nawet wstydzą. Nierzadko słyszałem: „Niech pan weźmie kogoś młodszego”. Na drugim biegunie tych reakcji jest rozsądne i zgodne z prawdą przekonanie, że zdjęcie to pamiątka.

Niemniej widoczny jest w fotografii nurt starszych modelek.

– Będzie zyskiwał na znaczeniu, bo społeczeństwa, zwłaszcza starej Europy, nie młodnieją. Obaj wiemy, że w kreacji produktowej, promocji i reklamie największe znaczenie ma tak zwany target odbiorczy. Konsumpcja steruje wszystkim z poziomu, którego już nie dostrzegamy.

Nie tylko z tego powodu rośnie znaczenie fotografii.

– Ponieważ kreatorom udało się stworzyć społeczeństwo obrazkowe. Komunikat: „Nie musisz traktować wysiłku jako nieodzownego narzędzia do osiągnięcia celu”, w istocie jest podszyty sugestią: „Wszystko to zrobimy za ciebie”, która daje pretekst do podania ceny, a następnie wystawienia rachunku.

Nie czytaj, zobacz zdjęcie.

– Albo dosadniej: „Nie trać czasu na czytanie”.

Lubisz rozmawiać z ludźmi?

– Lubię, zwłaszcza prywatnie. Zawodowo mniej, chociaż na przykład przed zrobieniem zdjęcia portretowego przyglądam się technice mówienia człowieka. Wtedy siłą rzeczy muszę porozmawiać. Niekiedy przydaje się to, na przykład, kiedy mam do czynienia z kimś, kto diametralnie inaczej wygląda mówiąc. Sposób przemawiania czasami definiuje wygląd postaci. Gdy milczy, znikają grymasy, zmianie ulegają rysy twarzy, mimika zastyga.

Jako fotograf zdobywasz zaufanie ludzi.

– A to widać? (uśmiech). Nie tylko jako fotograf.

W jaki sposób to robisz?

– Szczerością i otwartością.

Mają prawo fotografowi nie ufać. Nie każdy ma dobre zamiary.

– Po kilku zdaniach rozmowy wiem, czy mogę liczyć na zaufanie. Ludzie najczęściej są sobą przed obiektywem aparatu. Jeżeli nie od razu, to po kilku lub kilkunastu trzaśnięciach migawki.

Widzę, jak na ciebie reagują osoby, które widzą cię pierwszy raz. Nie uśmiechasz się i nic nie mówisz, a ludzie szukają z tobą kontaktu.

– Mam z tym pewien problem. Kiedyś dziwiłem się mojej matce, że nie chodzi do wszystkich sklepów, tylko do wybranych. Miała swoje ulubione sprzedawczynie, które zostawiały dla niej produkty, których nie zamawiała. Widocznie coś z tego dostałem w genach, bo zdarza się, że w markecie słyszę: „Tego sera niech pan nie bierze. Przyniosę coś lepszego”.

Dobrze jest z tobą, w roli doradcy, robić zakupy.

– Poważnie! (uśmiech). Z nikim na siłę nie skracam dystansu, ale mam podejście do ludzi lub oni do mnie. Na wschodzie, dokąd jeżdżę często i od dawna, spotykam osoby, którzy rozpoznają mnie mówiąc: „Aaa, bo pan to z tych, z którymi najtrudniej skończyć rozmowę”.

Popatrz, mógłbym powiedzieć to samo.

– Przypomniała mi się zabawna historia. Gdzieś w mieście podchodzi do mnie młoda kobieta i wyraźnie uradowana ze spotkania prosi, żebym sfotografował jej pociechę w pia-

skownicy. Ponieważ reaguję bez entuzjazmu, kobieta dodaje: „Panie Krzysztofie, pan tak pięknie robi dzieci!”. Od razu poprawiła mi humor (uśmiech).

Jak zareagowałeś?

– „Wprawdzie żadnego nie zrobiłem, ale skoro pani tak uważa...”. Wiesz, to zawsze trzeba obejść żartem. W przeciwnym razie ludzie, którzy pakują się na minę, nabierają przekonania, że zostali na nią wepchnięci (uśmiech).

Jak sądzisz, w jakim kierunku w najbliższych latach pójdzie fotografia?

– Trudno wyrokować, ale spory wpływ na fotografię współczesną może mieć rozwój technologii optycznych i aplikacji do wykonywania i obróbki zdjęć. Jeżeli do minimum ograniczysz prawdopodobieństwo popełnienia błędu technicznego, fotografowi pozostaje uniknięcie wystąpienia niedoskonałości i masz narzędzie do tworzenia zdjęć optymalnych.

Reszta to kwestia wrażliwości i talentu fotografa.

– Tak, dopóki nie powstanie algorytm, który na podstawie różnych danych będzie w stanie samodzielnie określić poziom atrakcyjności kadru.

Nigdy nie powstanie sztuczna inteligencja, która zaimplementuje to, co w człowieku unikalne – abstrakcję i surrealizm.

– Oby. Ilekroć słyszę o tym, że maszyna skomponowała utwór muzyczny, na podstawie scenariusza zmontowała film lub zadba o światła na scenie teatralnej, nie mogę pozbyć się wrażenia, że w automatyce niepotrzebnie wchodzimy w obszary od zarania zarezerwowane dla człowieka.

Fotografia cyfrowa całkowicie wyprze analogową?

– W sensie użytkowym cyfra okazała się doskonałym patentem. Zawsze jednak, jak w muzyce, znajdują się ludzie, którzy wybiorą płytę analogową od kompaktowej. Ważne, że na razie mamy wybór, bo widząc, co dzieje się w innych dziedzinach życia, któregoś dnia może stanąć ostatnia linia produkująca filmy fotograficzne.

Teraz nie przemawia przez ciebie optymista.

– Wszystko się zmienia, sam tego doświadczasz. Mądry klasyk stwierdził: „Wszystko płynie”. Zgadza się, ale nie dodał, że „... aż spłynie” (uśmiech).

Ludzie budują tamy, niewiele wynalazków zostało całkowicie wypartych przez inne. W fotografii cyfra ma istotne ograniczenia.

– Nie wierzyłem, że cyfra wejdzie do powszechnego zastosowania. W każdym razie, kiedy mam przed sobą młodych adeptów fotografii, uświadamiam im, że mają wybór, a nawet mogą mieszać fotografię analogową z cyfrową, co też przynosi ciekawe efekty. Trzeba chcieć i myśleć.

Czy z biegiem lat u fotografa zmienia się sposób robienia zdjęć?

– Chyba tak. Teraz, a właściwie już od wielu lat, pracuję spokojniej. Inaczej patrzę na świat, ludzi. Doceniam uroki życia, wiem, czego naprawdę potrzebuję, a co mogę sobie bez straty opuścić.

Dostrzegasz u siebie coś w rodzaju wypalenia zawodowego?

– Nie. Zastanawiałem się nad tym wielokrotnie. Może dlatego, że zawsze robiłem to, co bardzo lubię. Nie wiem, kiedy nauczyłem się rezygnować z tego, co dotąd uważałem za niezbędne. Niestety, to może prowadzić na manowce, o czym przekonuję się, gdy nie słucham intuicji. Kiedyś zatrzymałbym się i zrobiłbym zdjęcie, teraz jadę dalej, ale już po kilku kilometrach żałuję, że nie stanąłem.

Jak dzisiaj na wolnym rynku sprzedają się zdjęcia?

– Bardzo dobrze, ale o cenach mówiliśmy. Chociaż pandemia miała wpływ zarówno na zbyt, jak i ilość zamówień. Rynek trochę zwolnił, w krótkim okresie nawet stanął. Inna sprawa, że nie robię wszystkiego. Gdybym chciał lub musiał, mógłbym ponownie wejść na wyższe obroty pracy.

W jakim stopniu obrabiasz zdjęcia?

– Góra dziesięć procent. Jestem wyznawcą teorii, że zdjęcie powinno obronić się samo, zwłaszcza prasowe. Po co uszlachetniać obraz tego, co wszyscy mogą zobaczyć? Prawdy wielce nie przypudrujesz.

Walczysz z obsesją kadrowania?

– Skąd wiesz? (uśmiech). No tak, to rzeczywiście problem. Kadrowanie zoomem spowodowało, że w człowieku pozostało przyzwyczajenie do ciasnego kadru. Odbija się to przy wywoływaniu zdjęć, kiedy laborant pyta: „Czemu nie zostawiasz więcej światła? Maszyna obcina”.

Pytam, bo mam to samo.

– W gazetach, jak tylko dostawałem czyjeś zdjęcie, natychmiast kombinowałem, jak je skadrować. To przekleństwo. Brak możliwości kadrowania widoczny jest zwłaszcza w zdjęciach architektury. Z drugiej strony, każdy sekretarz redakcji chce, żeby na zdjęciu było dokładnie to, o czym mówi tekst. Nic więcej.

„Panie Krzysiu, jak najlepiej fotografować, proszę mi poradzić?” – jak odpowiadasz na takie pytania?

– Trudna sprawa. Na ogół udaję idiotę (śmiech). Nie znajduję sensu we wdawaniu się w rozmowy na temat fotografii. Jeżeli doradzam, to w najprostszych sprawach, o tak zwanej teorii nie dyskutuję, bo każdy ma swoje upodobania.

Tylko z tego powodu?

– Co mam powiedzieć komuś, kto fotografuje tylko w niedzielę? Nikt nie posłucha, robi po swojemu, uzna, że zna się na tym lepiej i jeszcze powie znajomym: „Wiecie, ten cały Sokołów, co robił zdjęcia do gazet, nie ma pojęcia o fotografii!” (uśmiech). Zdarzyło mi się, że przy robieniu zdjęcia z lampą do góry i ze światłem odbitym, ktoś podszedł do mnie i powiedział: „Lampa się panu odwróciła”.



Krzysztof Sokołów
2005 r.

Jak wtedy reagujesz?

– „Przepraszam, dziękuję, nie zauważyłem”. Czasami jeszcze słyszę: „Bo szwagier, jak robi zdjęcia...”. Milczę, ponieważ dyskusja nie ma sensu, nikt nikogo nie przekona. Fotografia stała się popularna, także za sprawą programów do obróbki zdjęć. Agencje coraz częściej korzystają z amatorów, którzy prywatnie mają kasę na podróż. Kupują od nich zdjęcia z najodleglejszych zakątków świata, na ogół gorszej jakości, za to tanie, i przerabiają je po swojemu.

Jak widzisz świat?

– Dobrze, chociaż ze wzrokiem miewam problemy (uśmiech). Po kilku godzinach przed monitorem czuję, że oczy są słabsze. Do czytania mam okulary. Ale rozumiem, że nie o to pytasz. Patrzę na świat fotograficznie i nie wiem, czy to dobrze. Widzę rzeczy, których może nie powinienem dostrzegać.

A jak patrzysz na ludzi?

– Tak samo, czyli na przykład odruchowo ustalam, czy twarz jest fotogeniczna. Nie ma sensu z tym walczyć, to choroba zawodowa.

Podobno nie ma ludzi nefotogenicznych.

– Z doświadczenia wynika, że jednak są, dlatego czasami trzeba naprawdę zdrowo namęczyć się, żeby komuś zrobić dobre zdjęcie.

Jakie nastawienie fotografa do pracy jest najlepsze?

– Generalnie na świat patrzę przyjaźnie, mniej ulegam negatywnym emocjom. Pytasz o coś, czego nie da się wypracować ani zmierzyć. W warsztacie fotografa jego nastawienie do pracy ma znaczenie tylko kiedy jest wyjątkowo złe. Zależy też, co masz sfotografować.

Dlaczego to jest względne?

– Z pozytywnym nastawieniem lubię robić pozytywne zdjęcia. Być może ktoś z innym będzie szukał okazji do zobrazowania swojego stanu emocjonalnego. Fotograf, który pracuje zawodowo, powinien mieć dystans do tego, co robi. Czy może angażować się w temat? To dyskusyjne.

Wielu fotografów nie ma nic przeciwko inscenizacjom.

– Pod warunkiem, że zdjęcie ma charakter neutralny i właśnie nie jest wyrazem zaangażowania. Jeżeli mówimy o fotografii reklamowej, kreacyjnej, artystycznej. Co innego fotografia prasowa, która relacjonuje. Każde odejście od autentyczności może i powinno być postrzegane jako próba manipulacji.

Ile w twojej pracy zależało od współpracy z dziennikarzem?

– Współpraca z dziennikarzami ma największe znaczenie i najbardziej widoczna jest przy nośnych tematach, które wymagają wyjazdu, odwiedzin, spotkania, kilku rozmów. Lubilem wiedzieć, co dziennikarz chce z tego, w czym wspólnie uczestniczymy. Przecież to on historię musiał wydobyć albo wyjaśnić, poskładać i zrelacjonować. Zawsze można wyjść na fajkę lub po kawę. Jednak lepiej, gdy dziennikarz z fotoreporterem związani są cichą umową.

Z najlepszymi fotoreporterami porozumiewałem się oczami.

– Dlatego tak istotna jest integracja wewnątrzredakcyjna. Jeżeli ludzie czują, że jadą na tym samym wózku i robią coś dla wszystkich, łatwiej przychodzi realizacja każdego zada-

nia. Dzisiejsze redakcje są zatomizowane, a wydawcom nie zależy na budowaniu zespołów. Liczy się reklama, promocja i online.

Jak zabezpieczasz się przed kikssem?

– Przede wszystkim trzeba przynajmniej usiłować przewidzieć, co może pójść nie tak. Stąd mam dwie karty w aparacie, dwa aparaty w użyciu, w tym drugi w bagażniku. Kartę wymieniam w torbie albo pod pazuchą, bo pada, zawiewa, nie chcę, żeby spadła na ziemię. Każde zdjęcie unikalne w tym znaczeniu, że trudne do powtórzenia, budzą niepokój, czy wszystko pójdzie zgodnie z planem.

W jaki sposób patrzysz na zdjęcia innych fotografów?

– Na ogół z zainteresowaniem.

Czego w nich szukasz?

– Informacji, czyli tego, o co sam dbam najbardziej. Czy zdjęcie jest czytelne i o czym mówi, a jeżeli tak, to z jaką intensywnością? Jaki ma poziom techniczny i jaka była skala trudności pracy? Czy autor osiągnął zakładany i spodziewany efekt? Czy zrobiłbym podobne zdjęcie?

Wszystko to wyczytujesz z pojedynczego ujęcia?

– To nie jest trudne, jeżeli w życiu obejrzało się trochę zdjęć. Nie mówię, że od razu milion (uśmiech).

**Widziałeś najnowszą wystawę Ziemka Kalkowskiego? Kormorany na naszym wybrzeżu. Niektóre stoją na falochronach i suszą skrzydła. Wyglądają jak pochylone nad wodą wielkie postaci w płaszcach. Żeby zrobić taki cykl, Ziemek musiał przy-
czajać się na nie tygodniami.**

– Pewnie dlatego wystawę nazwał wymownie „Ptaszory”. Chociaż na jego zdjęciach kormorany wyglądają dość sympatycznie. Może z powodu wyglądu, bo to ciężkie i duże ptaki, z rozpiętością skrzydeł nawet do półtora metra.

Podobno tak na kormorany mówią wędkarze. Obawiam się, że nie jest to określenie pieszczotliwe.

– Mówisz: tygodniami... Do fotografowania przyrody naprawdę trzeba mieć cierpliwość i dobre obiektywy (uśmiech). Miałem wyjątkową okazję przez wiele lat oglądać bociany,

które uwiły sobie gniazdo na drzewie w sąsiedztwie naszego domu. Fotografowałem je dosłownie z okna.

Tak myślałem.

– Mam piękne zdjęcia. Niestety, w drzewo uderzył piorun, niszcząc je kompletnie. Ucierpiały na tym również bociany. A ludzie mówią, że bociany chronią domy przed piorunami.

Domy, a nie drzewa.

– Sądziś, że natura jest aż tak dokładna?

Sroka kradnie to, co lśni, a nie błyszczy.

– A jak skrzeczy, to ktoś przyjdzie – tak mówiło się w dawnych czasach.

Co to oznacza, że zdjęcie „przemawia do odbiorcy”?

– Liczy się forma przekazu, ale też coś więcej. Porównałbym to do komunikacji konkretnym językiem. Jeżeli znam włoski, bez trudu porozumiem się z Włochem. Jeżeli z fotografem mam ten sam stopień wrażliwości, szybko zorientuję się, co chciał do mnie powiedzieć za pośrednictwem zdjęcia.

Czy z tego miejsca bije źródło interpretacji?

– Interpretację umieściłbym w innym przedziale relacji fotografa z odbiorcą. Fotografia prasowa stwarza mniej przestrzeni do interpretacji, natomiast w zdjęciach artystycznych, które widzimy na wystawach, odgrywa kluczową rolę.

Zdarza ci się nie zrozumieć intencji autora?

– Wiele zdjęć współczesnych jest dla mnie przykładem wrażliwości skrajnie różnej od mojej. Młodzi twórcy, dla których źródłem inspiracji są skojarzenia odmienne kulturowo, mają skłonność do wprowadzania mnie w osłupienie.

Jaka powinna być rola interpretatorów?

– Nie zawsze rozumiem, co mają na myśli niektórzy interpretatorzy fotografii artystycznych. Patrzymy na to samo zdjęcie, ale najwyraźniej widzimy coś zupełnie innego (uśmiech). Wtedy myślę, że dorabianie filozofii do prostego przekazu samo w sobie może być sztuką.

Czy pojawia się więź między fotografem a modelką lub modelem?

– Ludzie stojący po dwóch stronach kamery lub aparatu pracują na ten sam, jak najlepszy, efekt. Mają wspólny cel. Musi być między nimi coś na kształt porozumienia, na pewno dobra współpraca. Znam fotografów, którzy pracują wciąż z tymi samymi modelkami i modelami. Nie dziwię się, bo to okazja do stworzenia więzi. W większości przypadków możemy jednak mówić o relacji, niekiedy silnej, dynamicznej, intensywnej i podbitej współtworzeniem, ale to tylko relacja zawodowa.

Sztuka przyciąga ludzi do siebie?

– Wystarczy spojrzeć na miejsca jej ekspozycji. O ile nie są to ekscentryczne wizje dla pojedynczych odbiorców, wszędzie sztuka gromadzi dużą widownię. Sama w sobie przyciąga ludzi, a przyjemność odbioru filmu, koncertu czy wystawy wzmacnia się, gdy możemy to zrobić z innymi.

Jaka jest różnica między zdjęciem prasowym a artystycznym?

– Nie wiem, czy w ogóle istnieje, mam wątpliwości. Wszystko to wzajemnie przenika się do tego stopnia, że fotografia prasowa trafia na aukcje dzieł sztuki, a artystyczna na łamy popularnych magazynów. Coraz bliższy jestem opinii, że sztuka to umowność, a artystę definiuje nie dzieło, lecz reakcja na nie odbiorcy.

Podobnie jak w przypadku mediów, wchodzimy w odwieczne rozważania czy dzieło ma schlebiać gustom odbiorców, czy też je kształtować?

– Od wielu lat powtarzam, że 90 procent fotografii uznawanych za artystyczne to dzieło przypadku. Chodzi tylko i aż o to, czy fotograf znajdzie się o odpowiedniej porze we właściwym miejscu. Podam ci przykład. Z okna samochodu widzę pole z kwitnącym rzepakiem, nad nim piękne kolorystycznie niebo, a pośrodku pola kwitnącą gruszę. Zatrzymuję się, a ponieważ z natury szybki nie jestem, spokojnie wydaję z bagażnika aparat, zmieniam obiektyw, przymierzam się, wybieram kadr. Nagle wstaje wiaterek, czuję go na plecach i widzę jak mała trąba powietrzna zaczyna targać gruszę. Podrzuca ją do góry, robi się groźnie. Tego zdjęcia niestety nie mam, na moim drzewo już leży na ziemi. Sekundy wcześniej zrobiłbym niesamowite zdjęcie. Czy coś takiego da się zaplanować?

Dobry przykład.

– Pamiętam zdjęcie drzewa na tle tęczy i przepięknego nieba. Stałem na ganku swojego domu. Zrobiłem pięć czy sześć zdjęć po kolei, ale ten efekt widać na jednym. Ułamek

sekundy. Z zamku w Trokach na Litwie przywiozłem fotografię, na której światło pada w specyficzny sposób. Pojawiło się na jednym zdjęciu z dziesięciu.

Jakie znaczenie w fotografii ma pogoda?

– Kluczowe, ale pogoda to pojęcie względne. Przekonałem się o tym wielokrotnie, a ostatnio, gdy fotografowałem córkę znajomych. Uparła się, że chce mieć zdjęcia w deszczu. Zrobiliśmy je i ku mojemu zaskoczeniu wyszły bardzo dobrze. Nie można więc, jak chciałoby się, powiedzieć, że największe znaczenie ma pogoda. Musi być to coś, czego znowu nie da się zaplanować ani określić.

Nierzadko fotografowie sami budują mit wyjątkowego zdjęcia.

– Kreacja może być trudniejsza od prostego ujęcia rzeczywistości. Czasami słyszę od kolegów, jak długo i żmudnie pracowali nad nagrodzonymi zdjęciami. Jestem w stanie uwierzyć w to, gdy na ujęcie trzeba poczekać.

Mit założycielski zawsze sprzyja budowie legendy.

– Gdyby autor powiedział: „Jechałem po dziecko do przedszkola, zatrzymałem się i cyknąłem stertę złomu”, zamiast mówić: „Nietrwałość konstrukcji stalowych jest wyrazem dzisiejszej niepewności jutra”, myślę, że mielibyśmy do czynienia z kilkoma różnymi ocenami tej samej pracy (śmiej).

Twoje zdjęcia też są zaskakująco odczytywane?

– Podczas jednej z wystaw zbiorowych kurator mówiła o mojej pracy tak tajemnicze rzeczy, że chciałem jej przerwać (uśmiech). Pomyślałem, że jeżeli tylko ona to widzi, to może to, co mówi, nie jest w porządku wobec reszty odbiorców. W takich sytuacjach fotografowi włącza się dodatkowa funkcja w sonarze mierzącym poziom zawartości fałszu w rzeczywistości.

Kurator chciała dobrze, sztuka nieoczywista zbiera najwyższe notowania.

– Ale nie w przypadku, gdy autor skromnie stoi obok (uśmiech). Zaczynałem wątpić czy jestem autorem tego zdjęcia.

Ale później pewnie posypały się gratulacje.

– Z tymi gratulacjami to jest dokładnie tak, jak czasami bywa w teatrze. Gdy sztuka okazuje się klapą, ale po aktorach widać niesamowity wysiłek i zaangażowanie, ludzie klasz-

czą na stojąco. Wszystkim wydaje się, że to jedyna metoda na osłodzenie goryczy porażki. Tymczasem opierając się tylko na reakcjach widzów recenzenci mogą dojść do wniosku, że oto zanoszą na wydarzenie roku (śmiej).

Byłem jurorem w wielu konkursach fotograficznych. Szczyt entuzjazmu dla zdjęcia to komentarz jurora – fotografa: „O, a to fajne”.

– Zgadza się! (śmiej). Tym różni się sztuka estradowa od galeriowej. Fotografia, choć mamy z nią do czynienia na każdym kroku, a czasami wzbudza ogromne emocje, to jednak kameralny akt artystyczny.

Nie zmienił tego nawet fakt, że kilka głośnych zdjęć na aukcjach zostało sprzedanych za miliony euro lub dolarów.

– W świecie sztuk wizualnych fotografia to wciąż lokator ostatniego miejsca w rankingu popularności sprzedaży prac.

Zdarza się jeszcze, że sytuacja fotograficzna cię zaskakuje?

– Życie – nie, ludzie – tak (uśmiech). Robię zdjęcie w części zabiegowej uzdrowiska. Temat: zabiegi upiększające. W wannie z algami leży naga modelka, która uśmiecha się przyjaźnie do obiektywu. Ponieważ odkrywa dużo więcej niż potrzebuję, sugeruję pani, żeby trochę się zakryła tymi algami. W odpowiedzi słyszę: „A, to nic nie szkodzi. Mam co pokazać, więc pokazuję”. Przetłumacz pani, że nie chodzi o nią, tylko o standardy prasy codziennej?

fot. 208 | str. 147 →

Koszaliński Festiwal Debiutów Filmowych
„Młodzi i Film”
1999 r.





← fot. 209 | str. 148

Występy zespołów studenckich
lata 90. XX w.

fot. 211 | str. 149 →

Spotkanie z Wojciechem Siemionem
Wojewódzki Dom Kultury,
lata 80. XX w.

↓ fot. 210 | str. 148

Ognisko plastyczne w Koszalinie
lata 90. XX w.







← fot. 212 | str. 150

Występy zespołu tanecznego,
amfiteatr
1984 r.

↓ fot. 213 | str. 150

Skansen w Muzeum
lata 90. XX w.





↑ fot. 214 | str. 151

Przed wejściem do Unii,
Rynek Staromiejski
2003 r.



↑ fot. 215 | str. 151

Koncert filharmoników koszalińskich
przed amfiteatrem
2005 r.



↓ fot. 217 | str. 152

Jarmark ludowy
1983 r.



← fot. 216 | str. 152

Galeria w tunelu,
Park Książąt Pomorskich
1983 r.

fot. 218 | str. 153 →

Światowy festiwal Chórów
Polonijnych w Koszalinie
1979 r.





← fot. **219** | str. **154**

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

fot. 221 | str. 155 →

Park Książąt Pomorskich
lata 2000



↑ fot. 220 | str. 155

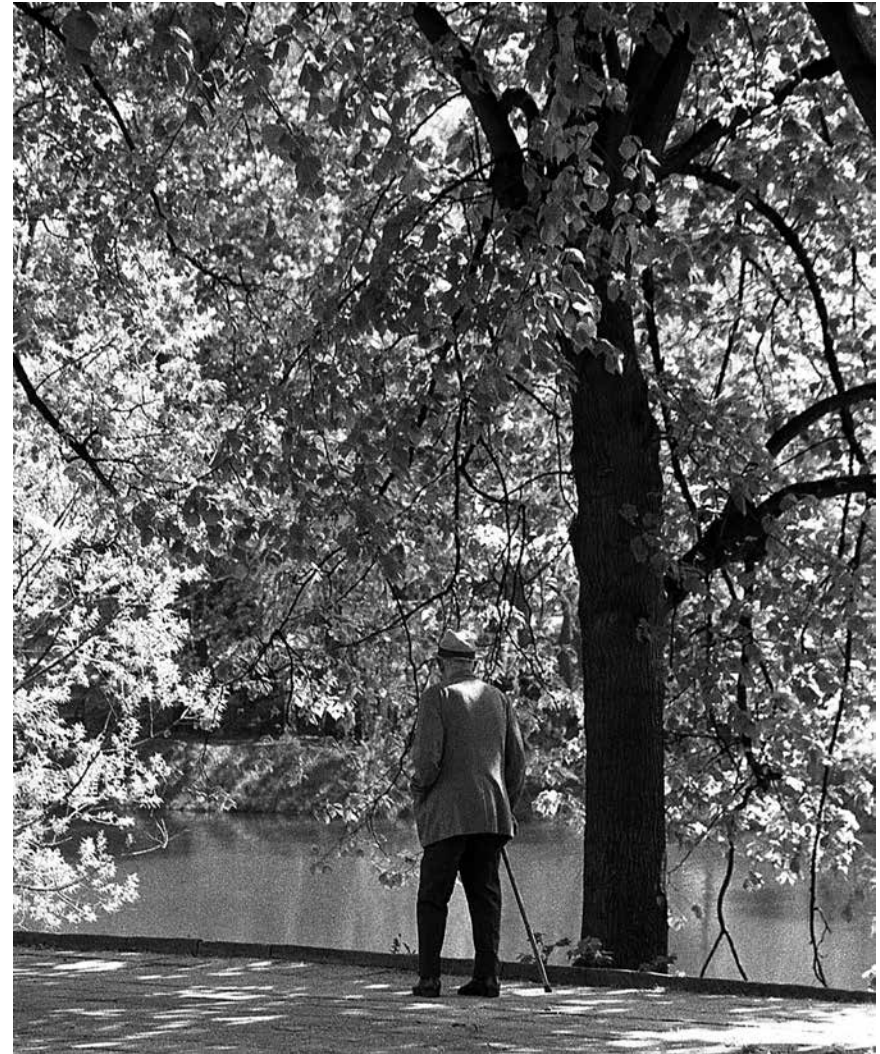
Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.





← fot. 222 | str. 156

Spacer w parku
1983 r.



↑ fot. 223 | str. 156

Park Książąt Pomorskich
1992 r.

fot. 225 | str. 157 →

Występy orkiestry dziecięcej
lata 90. XX w.



↑ fot. 224 | str. 157

Koszalińska gietda
lata 90. XX w.





← fot. 226 | str. 158

Marlena Zimna
w Prywatnym Muzeum
Włodzimierza Wysockiego
lata 90. XX w



← fot. 227 | str. 159

Amfiteatr
lata 80. XX w.

↓ fot. 228 | str. 159

Czyn społeczny
1974 r.





← fot. 229 | str. 160

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.

fot. 231 | str. 160 →

Centrum Koszalina
lata 90. XX w.



← fot. 230 | str. 160

Park Księżąt Pomorskich
lata 90. XX w.

fot. 232 | str. 161 →

Pracownia elektroniczna
w Zespole Szkół Elektroniczno-Elektrycznych,
nauczyciel Marek Guździół
lata 90 XX w.







← fot. 233 | str. 162

Naprawa ulicy Zwycięstwa
lata 90. XX w.

↓ fot. 234 | str. 162

TV MAX,
operator Witold Stawiszyński
2000 r.





← fot. 235 | str. 163

Stacja Kontroli Pojazdów,
 ówczesna ul. Hibnera
 (obecnie Batalionów Chłopskich)
 lata 90. XX w.



↑ fot. 236 | str. 163

Prywatna Lecznica Chirurgiczna „Praxis”
 2005 r.



↑ fot. 237 | str. 164

Gięta warzywna i owocowa,
ul. Szczecińska
lata 90. XX w.



↑ fot. 238 | str. 164

Koszalińska Wytwórnia
Części Samochodowych
1983 r.

fot. 239 | str. 165 →

Pracownia jubilerska
Jacka Persyka
lata 90. XX w.





← fot. 240 | str. 166

Zakład Techniki Próżniowej „Tepro”
1983 r.

fot. 242 | str. 167 →

Spotkanie z Boguszem Bilewskim,
Wojewódzki Dom Kultury
lata 90. XX w.

↓ fot. 241 | str. 166

Pracownia protetyczna w przychodni,
ówczesna ul. Alfreda Lampego
(obecnie ul. gen. Andersa)
lata 80. XX w.







fot. 246 | str. 169 →

Spotkanie z Bronisławem Pawlikiem,
Wojewódzki Dom Kultury
lata 90. XX w.

← fot. 244 | str. 168

Występ Aloszy Awdiejewa,
amfiteatr
lata 2000



← fot. 245 | str. 168

Występ Krystyny Sienkiewicz,
amfiteatr
lata 2000

← fot. 243 | str. 168

Występ kabaretu „Koń Polski”,
amfiteatr
lata 2000



↑ fot. 247 | str. 169

Portret chłopca
1998 r.

↓ fot. 248 | str. 169

Portret chłopca
1995 r.





↑ fot. 249 | str. 170

Występ Wojciecha Młynarskiego,
amfiteatr
lata 2000



↑ fot. 250 | str. 170

Występ Jacka Kaczmarskiego,
amfiteatr
lata 2000



↑ fot. 251 | str. 170

Występ Adrianny Biedrzyńskiej,
amfiteatr
lata 2000

↓ fot. 252 | str. 171

Uroczystość pod Pomnikiem
„Więzi Polonii Zagranicznej z Macierzą”
lata 90. XX w.



fot. 253 | str. 171 →

Obchody wybuchu
II wojny światowej
lata 2000





↑ fot. 255 | str. 172

Występ zespołu młodzieżowego
lata 90. XX w.

← fot. 254 | str. 172

Kompania honorowa
lata 90. XX w.



↑ fot. 256 | str. 173

Uroczystość patriotyczna na cmentarzu
lata 90. XX w.



↑ fot. 257 | str. 173

Piknik wojskowy
lata 90. XX w.



← fot. 258 | str. 174

Basen w Koszalinie,
ul. Jedności
lata 2000



↑ fot. 259 | str. 175

Zawody młodzieży szkolnej na stadionie
lata 80. XX w.



← fot. 260 | str. 176

Wyścig kolarski
lata 90. XX w.

↓ fot. 261 | str. 176

Tor kartingowy
lata 90. XX w.





fot. 262 | str. 177 →

Przed katedrą,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.

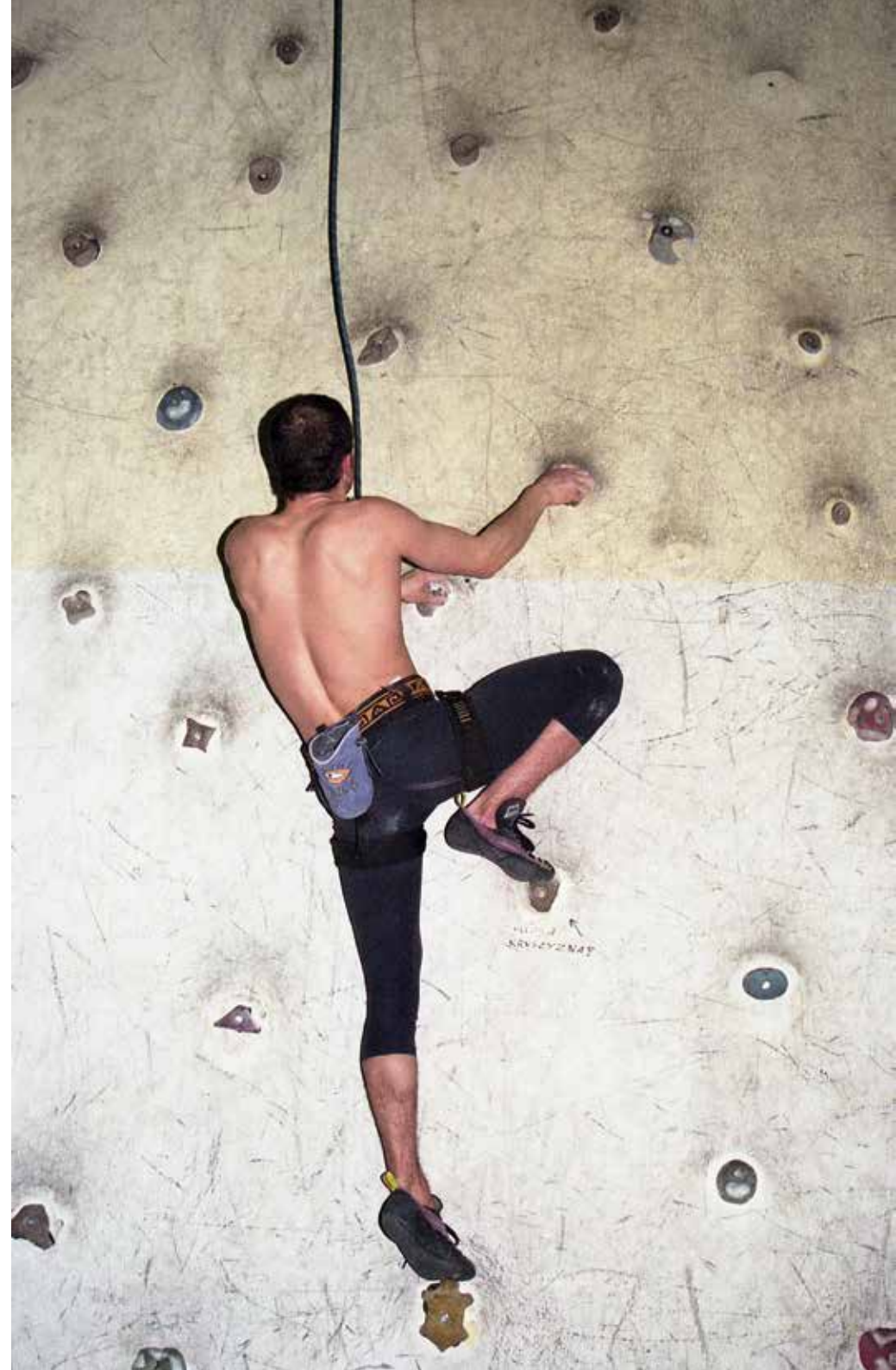
↓ fot. 263 | str. 178

Stadion „Bałtyk”
lata 90. XX w.



fot. 264 | str. 178 →

Ścianka wspinaczkowa,
Politechnika Koszalińska
lata 90. XX w.



GAZETY

Pięć bocianów w gnieździe



Wyjaśnijmy to tym, którzy nie wiedzą lub nie pamiętają, że w dawnych czasach zdjęcia przekazywało się redakcjom na papierze.

– A jak inaczej? Za czasów „IKP-u”, a nawet w pierwszych latach „Głosu Koszalińskiego” nie było komputerów i internetu.

Czyli robiłeś zdjęcie, musiałeś je wywołać i dostarczyć do redakcji.

– Zdaje się, że obaj właśnie uzmysławiamy sobie, że te „dawne czasy” to z dzisiejszego punktu widzenia prehistoria (śmiejch).

Nie inaczej. Jak człowiek mógł wtedy pracować w gazecie?

– Nie mógł inaczej, dlatego godziliśmy się na to, co było.

Wciąż mam w archiwum zdjęcia z notatkami grafików na odwrocie. Niektórzy w ten sposób mierzyli proporcje do makiety strony.

– Graficy mieli różne techniki makietowania zdjęć, co dla młodych adeptów kryło wiele tajemnic. Trzeba było w druku zobaczyć co najmniej kilka swoich błędów, żeby zacząć tworzyć własny warsztat.

Jednak zanim zdjęcie wylądowało u grafika, musiało trafić do redakcji.

– W „IKP-ie” było tak, że do przyniesionych przeze mnie odbitek zdjęć Leszek Siwkowski dokładał teksty i wszystko to razem słał do Bydgoszczy.

Ale nie pocztą tradycyjną, najszybciej szły dworcówki.

– Czyli PKP, tak. Były specjalne koperty, goniec redakcyjny, a w oddziałach dziennikarz lub sekretarz jechał na dworzec i oddawał przesyłkę konduktorowi, maszyniście lub do przedziału pocztowego.

Jak ktoś miał bliżej, przesyłka docierała tego samego dnia.

– A jak ktoś dalej, jak my, materiał trafiał do redakcji głównej nazajutrz.

Z publikacją następnego dnia, czyli drugi dzień po fakcie.

– Wtedy to nikomu nie przeszkadzało, teraz wydarzenie jest relacjonowane na bieżąco. Dlatego mówimy o prehistorii (uśmiejch).

Tego trudno bronić nawet z pobudek sentymentalnych.

– Tak funkcjonował cały świat mediów. Chociaż, po prawdzie, zawsze czuliśmy, że można inaczej. Pierwsze zdjęcia cyfrowe były szybciej niż wysokoprzepustowe łącza internetowe. Do przekazywania zdjęć wykorzystywaliśmy dyskiety.

Które psuły się po kilkakrotnym użyciu.

– Pół biedy, jeżeli po przeniesieniu zdjęć! Pamiętam sytuacje, gdy trwało zarzucanie plików, a dyskietka „tyk-tyk-tyk-tyk” i koniec.

Tak! To charakterystyczne tykanie wyprowadzało ludzi z równowagi.

– Jak wszedł internet, rozdzielczość była tak niska, że jedno małe zdjęcie modem przenosił kilka minut.

Drugi dźwięk z tych przeklętych wydawał łączący się modem.

– Były jeszcze stukające na całą redakcję teleksy, których teraz już w ogóle nikt nie pamięta (uśmiech).

Robiłem depesze w „Gońcu Pomorskim”, zamieniając wszystkie kwadraciki w tekstach teleksowych na ó, ź, ć, ś i tak dalej.

– Czyli obaj, tylko w różnych miejscach, przeszliśmy swój szlak bojowy.

Momentami nie dało się pracować.

– Pracowałem trochę z dala od redakcji, przychodząc do niej ze zdjęciami, ale byłem świadkiem tego wszystkiego.

Z „Głosem” współpracowałeś od początku istnienia gazety?

– Dołączyłem po kilku latach. Założycieli i współwłaścicieli gazety znałem z kultury. Niektórzy wcześniej pracowali w „Głosie Pomorza”. Kontaktowaliśmy się przy różnych okazjach, ale głównie w sprawie zdjęć z imprez organizowanych przez WDK.

Jakie tematy robiłeś w „Głosie”?

– Z Koszalina i z terenu, czyli mniejszych i większych miejscowości regionu. Przez wiele lat obsługiwałem Połczyn. Lubiałem to, dostawałem listę postaci i obiektów, i jechałem jak po sznurku. Nie sam, z dziennikarzem, ale miałem wolną rękę do realizacji tego, co wpadło mi w oko.

Przed wyjazdem mówiliśmy fotoreporterom: „Cyknij coś przy okazji”.

– W każdej redakcji potrzebne są zdjęciowe zapchajdziury (uśmiech).

Czasami z tych przypadków wychodziły całe tematy.

– Miałem to wiele razy. Niby dziura w drodze, a – po telefonie dziennikarza do gminy – okazywało się, że właśnie dostali pieniądze na remont nawierzchni. W dziennikach na dobrą sprawę przydaje się wszystko. Do zagospodarowania jest dużo miejsca, a zwykle nie wszystko z planówki udaje się zrobić.

Przychodziłeś na planówki?

– Zlecenia przekazywali mi sekretarze po planówkach.

Kiedy na to wszystko znajdowałeś czas?

– Ha! (uśmiech). To był kłopot, powiem ci. Bo szkoła, zajęcia, kółka. Praca w redakcji to sporo wyjazdów, przejazdów, spotkań. Niekiedy coś przedłuża się, sprawa jest źle domówiona lub ktoś się spóźnia, czego bardzo nie lubię. Musiałem nauczyć się sprawnie gospodarować dniem.

W gruncie rzeczy byłeś panem swojego czasu.

– W pewnym sensie też, bo, pamiętaj, w szkole miałem grafik. Czasami prosto z Darłowa czy z Polanowa wracałem na kółko fotograficzne. Ale rzeczywiście, dla mnie było ważne, że sam decydowałem, kiedy i dokąd jadę. To znaczy otrzymywałem konkretne zlecenia, ale byłem raczej ogniwem wspierającym. Jak nie mogłem, to nie jechałem.

Jakich tematów nie brałeś?

– Tragedii ludzkich.

Ile samochodów zajechałeś?

– Zawsze zdążyłem sprzedać, zanim odpadły koła (śmiech). Żartuję. Moje samochody zwykle są w dobrym stanie. Miałem kilkanaście, w tym trzy „maluchy”. Wybierałem wozy dobre na każdą trasę, czyli i do miasta, i dalej. Jestem pragmatyczny, więc nie kupiłbym ciągnika, który pali dwanaście na sto. Benzyny.

Teraz ja rozumiem złośliwość.

– Każdy ma, co lubi (uśmiech). Pierwszy samochód kupiłem w 77. To była radziecka wersja czołgu miejskiego, czyli zaporozec. Docierałem nim wszędzie, o każdej porze roku. Były okresy, że jeździłem bardzo dużo, teraz już mniej, ale lubię zabrać, co najważniejsze, i wyruszyć w trasę.

Kiedy pożegnałeś się z „Głosem”?

– W 2005 roku. Później jeszcze czasami coś tam dla nich robiłem, szło na gk.24. Mam kontakt z dziennikarzami, z wieloma współpracowałem latami, ale zdjęć nie publikuję.

Porozmawiamy o powodzie tego rozstania?

– Nie było to nic konfliktowego (uśmiech). Zmienił się charakter mojej pracy w szkole, miałem mniej wolnego czasu, a nie chciałem działać na siłę. Po tych kilkunastu latach byłem też trochę zmęczony gonitwą. Przyjmowałem zlecenia z różnych agencji, mediów, wydawnictw. Wszystko na termin, w pośpiechu.

Podziwiam cię, że umiałeś tak wyhamować.

– Niektórzy wymagają okresowego naostrzenia lub naoliwienia, a dla innych wynaleziono emeryturę (uśmiech). W moim przypadku po gazetach nastał czas folderów turystycznych. W ten sposób zaowocowały moje wizyty w uzdrowiskach i w miejscowościach nadmorskich. Dlatego dzisiaj w moim dorobku większość stanowią zdjęcia spoza Koszalina.

Fotografia folderowa ma nieco inny charakter niż prasowa.

– W gruncie rzeczy to typowe zdjęcia reklamowe, a więc fotograf musi skupić się na produkcie, miejscu, kontekście. Postać staje się elementem ilustracji, a nie, jak często w gazetach, jej centralnym podmiotem.

Pozowali ci autentyczni kuracjusze?

– Z tym różnie bywało (uśmiech). Z Połczyna przywoziłem najlepsze anegdoty. Z racji tego, że w ciągu tygodnia miałem szkołę, na zdjęcia mogłem jeździć w weekendy. Nie mając własnych dzieci, uczucia rodzicielskie naturalnie przyrzuciłem na siostrzeńców żony, którzy wychowali się przy nas. Olę i Wiktora zabierałem ze sobą jeżdżąc po tych wszystkich ośrodkach, spa i uzdrowiskach.

Stąd pewnie ich obecność na twoich zdjęciach.

– Oczywiście! (uśmiech). Jak trzeba było, niech mi wybaczą to wyrażenie: zrobić tło, to dzieciaki były pod ręką.

Córki nasze do dzisiaj pamiętają z dzieciństwa: „Stań tam, proszę”.

– Nazywam to: „komendami fotograficznymi” (uśmiech). Muszą być! Jak inaczej ludzi ustawić tak, żeby z otoczeniem stanowili dobry kadr? Swoi i bliscy to jeszcze nie problem, ale przedstawiaj tak po gabinecie parlamentarzystę, prezydenta, prezesa spółki albo targaj po kulisach popularnego aktora: „Trochę w lewo, może pan? Teraz do mnie, bardziej bokiem, dobrze, uwaga!” (uśmiech). Chociaż, powiem ci, że gwiazdy mają największą pokorę wobec pozowania.

Bo to element ich pracy.

– Poza tym wiedzą, że wszystko to dzieje się tak naprawdę dla nich. Przecież chcemy tego samego: jak najlepszego ujęcia.

Domyślam się, że w tych spa to było, jak w piosence Kazika: „Kiedy nie ma dzieci, jesteśmy trochę niegrzeczni...”

– Nie aż tak (uśmiech). Znasz zasadę, że na zdjęciu musi być człowiek. Jak nie ma modelki lub modela, to: „Pani Monisiu, czy może nam pani zapozować?” i wtedy sekretarka albo asystentka zanurza rękę lub nogę w kąpieli błotnej i uśmiecha się do obiektywu. Żartuję (uśmiech). Ale trochę jest w tym prawdy.

Wtedy dobrze by było, żeby pani Monika nie miała krzepkiego narzeczonego.

– Tak, to już element „Podręcznika dobrego wychowania fotografa” (uśmiech). Żadnych nieostrożnych komentarzy, zbędnych słów, wszyscy jesteśmy w pracy. Sądziś, że dla kogośkolwiek komfortowe jest robienie zdjęć w skąpej odzieży?

Znam paru fotografów...

– ... modelkę też znalazłbym kilka (uśmiech). Ale żarty na bok! Zdjęcia z modelkami tylko w teorii są proste, bo ludziom wydaje się, że wystarczy dobre ustawienie i cyk. Nie o to w tym chodzi. Osoba pozująca musi wypaść naturalnie, otoczenie we właściwy sposób zagrać, a całość dobrze zilustrować zalety produktu. Jeżeli natomiast modelka sama jest podmiotem zdjęcia, fotograf powinien wyciągnąć z niej to coś, co zaintryguje odbiorcę.

A jak fotografuje się dzieci?

– Najlepiej szybko, większość nie lubi długiego pozowania. Maluch z natury jest niecierpliwy, więc najlepiej takie zdjęcia robić z zaskoczenia i bez ustawiania albo dla odmiany wcześniej dokładnie przemyśleć sobie, co ma na nich być. Lubię fotografować dzieci, mam do tego dobre oko.

Pamiętam: „Panie Krzysztofie, pan tak pięknie robi dzieci...”

– Fakty przemawiają same za siebie (uśmiech). To jeszcze była sytuacja, którą można obrócić w żart. Gorzej, kiedy na ulicy podbiega do ciebie kobieta, w tym przypadku wiek nie ma znaczenia, obściskuje cię i krzyczy: „Cieszę się, że cię widzę!”. Nie wiesz, jak się zachować, a ona: „Krzysiek, nie pamiętasz mnie?”. „Jakoś nie” – bąkasz, a ona dalej: „Jak możesz mnie nie pamiętać?”. Kiedy już wszyscy dostrzegają twoje zakłopotanie i zanoszą się na skandal towarzyski, kobieta wyjaśnia: „Robiłeś zdjęcia na weselu mojego szwagra!”.

Ludzie zawsze pamiętają fotografów.

– Zawsze. Ta kobieta jeszcze dodała: „Pięć lat temu” (uśmiech). Czasami przydaje się szczęście. Kiedyś musiałem szybko przemieścić się do Karnieszewic. A, dodam, żeby móc robić zdjęcia w kościołach podczas liturgii, trzeba było zdobyć specjalną legitymację diecezjalną. Pędzę więc z Koszalina, a na wylotówce z Sianowa zatrzymuje mnie patrol. Kontrola dokumentów, przekroczenie prędkości. Wyjmuję prawo jazdy, wzrok policjanta pada na tę legitymację kościelną z dużym krzyżem. Po sekundzie napięcia słyszę: „Dzisiaj księdzu darujemy, ale następnym razem...”.

Miałeś duuużo szczęścia.

– Jadę z wojewódzkim kuratorem oświaty do szkoły gdzieś pod Świdwin. Szkoła w budowie, chodzi o dokumentację. Zima, zmiernych, podjeżdżamy samochodem służbowym kuratorium. W tamtych czasach, pewnie pamiętasz, kurator to była figura. Wewnątrz siedzi kobiecina, która stróżuje i dba, żeby mury schły. Wsiadamy, szybko robię zdjęcia, chcemy wchodzić na teren szkoły, a ona: „Ja wam dam! Psy spuszczać!”. Kurator próbuje: „Proszę panią, jestem kuratorem...”, na co kobiecina: „Jeszcze mnie będziesz prokuratorem straszył?!”. Nie było wyjścia, musieliśmy się ewakuować. Zdążyliśmy przed tymi psami schronić się w samochodzie (śmiejch).



Teraz się śmiesz, ale wtedy...

– Współpracowałem z koleżanką, która skądkolwiek wychodził, pytała: „Widziałeś, jak na mnie patrzył?”. Zawsze wiedziałem, co powie na odchodne. Była przekonana, że wszyscy ją podrywają. Później nasze kontakty urwały się, nie widzieliśmy się wiele lat. Po długiej przerwie spotykamy się przy okazji realizacji folderu. Upływ czasu nie ze wszystkimi obchodzi się łaskawie. Rozmawiamy grzecznościowo ze zleceniodawcą, pijemy kawę i omawiamy robotę. Gospodarz jest miły, ale nic ponad to. Wychodzimy od niego, a moja koleżanka: „Krzysiek, ty widziałeś, jak na mnie patrzył?”.

Dobrze jest znać swoją wartość.

– Inna sytuacja, z Połczyna. Mam zrobić zdjęcie dywanu kwiatowego. Ustawiam się tak, żeby go jak najlepiej pokazać, w kadrze mam parę siedzącą na ławce. Idealnie. Kiedy odchodzę, słyszę za sobą kroki. Biegnie facet z tej ławki. „Wie pan – zagaja – nie możemy być na zdjęciu”. „Dlaczego?” – pytam. „Bo my tu nie przyjechaliśmy razem” – wyjaśnia facet ze zbolatą miną.

Takie emocje tylko wśród kuracjuszy.

– Siedzę na ławce, palę fajkę. Piękny dzień w Połczynie. Wszystkie ławki wolne, ale na mojej przysiadają trzy kuracjuszki. Od słowa do słowa biegnie rozmowa, w końcu pada sakramentalne pytanie: „A pan też na kuracji?”. Coś mnie podkusiło: „Tak” – odpowiedziałem. „A gdzie?”. Wcześniej robiłem zdjęcia w <Gryfie>, więc brnę w to kłamstwo: „W <Gryfie>”. Panie zdziwione: „O, a my pana nie widzieliśmy na fajfie”. Tłumaczę, że byłem zajęty, dopiero przyjechałem. Ta najodważniejsza przechodzi do meritum: „A w którym pokoju pan mieszka?”. Zdjęcia robiłem w sto dwa, więc podaję ten numer. Na co wszystkie trzy jedna przez drugą: „A czy możemy wpaść wieczorem? Tam jest telewizor, a my chcemy w spokoju obejrzeć <M, jak miłość>”.

Nie mów, że odmówiłeś!

– Skąd! Powiedziałem: „Zapraszam!”.

Ciekawe, jak panie przeżyły stratę odcinka.

– Po powrocie do Koszalina okazuje się, że nazajutrz znowu muszę jechać do Połczyna.



Tereny podożynekowe
lata 80. XX w.

Przypadek? Nie sądzę!

– Jadę z duszą na ramieniu (uśmiech). W „Gryfie” przy recepcji widzę, że hołem idą w moim kierunku te trzy kuracjuszki. Powiem ci tylko tyle, że musiałem nagle skrócić w boczny korytarz (uśmiech).

Po prostu zszedłeś z kursu na zderzenie.

– O mały włos! (uśmiech). Jadę samochodem i widzę na polu dosłownie tysiące ptaków. Robię im zdjęcie, w redakcji Józef Narkowicz zachwyca się tym widokiem i dając je do druku podpisuje, że to gęsi.

Skąd wiedzieliście, że to gęsi?

– To kluczowe pytanie (śmiej). Wcześniej w pracy pokazuję to zdjęcie koleżance, a ona: „O, gęsi! Wychowałam się na wsi, to wiem”. W porządku. Ziutek zadaje to samo pytanie co ty, odpowiadam, że gęsi. Ziutek marszy czoło, co ma powiedzieć, o ptakach obaj niewiele wiemy. Wymądrzam się jeszcze, że gęsi rzadko tu przylatują, zatrzymały się w drodze na Syberię i tak dalej (uśmiech). Zdjęcie idzie na pierwszą stronę, gazeta do druku, a rano okazuje się, że to nie gęsi.

Od początku miałem wątpliwości.

– Najgorsze, że to był łabędź niemy, a to dopiero rzadkość. Jak Wiktor przyjeżdżał do nas, wychodziliśmy, żeby fotografować dziką zwierzynę. Nad Hajką widzimy łabędzie, siostrzeniec krzyczy: „Zobacz, wujek, przemalowane łabędzie!”. Rzeczywiście, czarne. Zrobiłem kilka zdjęć, które znowu trafiły do Ziutka.

Ryzykowny z was był duet.

– Ziutek ogląda ptaki i mówi: „Tak, to czarny łabędź”. Robi podpis z wyjaśnieniem, co na zdjęciu i czekamy na wyrok czytelników (uśmiech). Nazajutrz telefon od Ziutka: „Musisz pogadać z tymi ludźmi – mówi. – Z jakiegoś instytutu zadzwonili, dałem im twój numer”. Czekam, dzwonią: „Skąd u was czarne łabędzie?”. „Pojęcia nie mam – wyjaśniam – na polu stały”. Okazało się, że one na co dzień stacjonowały na terenach chronionych, które były pod ochroną właśnie z uwagi na ich obecność!



↑
Bociany
1985 r.

↑
Przed katedrą
1975 r.

Czyli zwały spod kurateli.

– Musiało im się znudzić ciągle w tym samym miejscu chronionym siedzieć, a raczej stać i dały dyla. Ale, co najważniejsze, nie popełniliśmy błędu.

Przypomniałeś mi, jak w drodze do Pleśnej zrobiłem bociana na słupie. Wysiadłem, cyk, wsiałem i pojechałem. Dopiero na komputerze okazało się, że w gnieździe stały cztery. Podobno to też rzadkość.

– Mam zdjęcie z pięcioma bocianami w gnieździe.

Tak, ale ty je z okna podglądałeś, to się nie liczy.

– Te akurat zrobiłem na Podlasiu, w wiosce bocianiejskiej za Tykocinem.

Takie cuda tylko na Podlasiu.

– Nie wiem, skąd inspiracja (uśmiech), ale ty mi z kolei przypominałeś, jak kiedyś na cmentarzu koszalińskim spotkałem dwóch naszych wspólnych kolegów dziennikarzy. Obaj dzisiaj nie żyją. Mieli w zwyczaju przed Świętem Zmarłych obchodzić wszystkie znajome groby i przy każdym wypić lufę. Jeden z nich poskarżył mi się: „Wiesz, kiedyś wystarczało nam pół litra...”.

Na terenach podożykowych robię zdjęcia do relacji z festynu pierwszomajowego. To było w czasach wczesnej cyfry, pracowałem w „Głosie Szczecińskim”. Obok kręci się karuzela, poza tym nic się nie dzieje. Bez przymiarki fotografuję ludzi obracających się na krzeselkach. W redakcji okazuje się, że uwieczniłem Józka Warchołę z dzieckiem. Byli tak idealnie uchwyceni, jakby mi zapozowali do portretu. To wciąż ta sama siła przypadku.

– Jedno z pierwszych moich zdjęć prasowych i wystawowych. Ono chyba nawet dostało jakieś wyróżnienie. Sfotografowałem starsze panie stojące przed koszalińską katedrą z tulipanami. W gazecie do tego poszedł podpis: „Jeszcze nie chryzantemy”. Dzisiaj coś takiego byłoby nie do pomyślenia (uśmiech).

Jedziemy z Radkiem Koleśnikiem do Unieścia, bo ktoś zobaczył na plaży fokę. Nic tak wtedy nie ożywiało jedynki jak foka. Leżymy na piasku, strach podejść, bo zaklaszcze i zsunie się do wody. Radek powoli wstaje, skrada się, wstaje za nim, ale jestem wyższy, trudniej mi o niepozorność. Radek podnosi aparat, a foka łepkę. Na pożegnanie jeszcze pobiła nam brawa.

– Uparłem się, żeby na wschodzie sfotografować połów jesioteń. Znajomy zaprosił nas na daczę nad samą Wołgę. Jesiotra udało się złapać, znajomy stanął z nim do zdjęcia. Poczułem uderzenie, coś jak plaskacz wielką płetwą. To tak silna ryba, że jak mi odwinęła, to razem z aparatem poleciałem na plecy.

Pisałem o polowaniu dewizowym pod Polanowem. Głęboki las, nagonka, szczekanie psów. Idę ze swoim przewodnikiem, który wie, gdzie jest bezpiecznie dla obserwatora. Zatrzymujemy się, facet mówi: „Pan tu zostanie, idę na stronę”. Stoję i czekam. Słyszę szuranie, spodziewam się, że gość wraca. Z mroku w odległości kilku kroków wyłania się dzik. Stoję i patrzę, on stoi i grzebie ryjem w ziemi. W ułamku sekundy wyrwał do lasu, gdy przewodnik rzeczywiście wracał.

– Ze znajomym nadleśniczym jedziemy zimą zrobić zdjęcia dzików przy paśniku. Po przygotowaniu jedzenia, w odpowiedniej odległości, czekamy aż coś się pojawi, ale jak na złość, pusto. Myślę: „Trudno, mam dziki z Manowa, najwyżej nie będzie nowych”. Mamy wracać, nadeptuję na coś miękkiego i nagle dzik dosłownie wyrasta spod ziemi. Musiał przykryty śniegiem leżeć i czekać, aż ludzie pójdą, a może zasnął. Upadłem, ale aparatu nie puściłem.

Pojechałem z „Głosu Szczecińskiego” na wieś gdzieś na Pojezierze Drawskie. Marek Biczek, fotoreporter, z którym dużo pracowałem, dojechał tam ze Szczecina. Trudny temat, do wydania magazynowego, nie wchodzę w szczegóły. Nikt nic, zmowa, cisza. W końcu zawitaliśmy do sklepu, czyli tam, gdzie trafia każda informacja. Sklepową błądą, usta zasznurowane. Wiedzieliśmy, że mamy minutę. Rozjechaliśmy się w dwie strony na piętnaście sekund przez przybycie orszaku szwagrow. Minąłem ich przy skrzynkach na listy.

– Wchodzę do firmy, mam zrobić kilka zdjęć. Przedstawiam się, sekretarka puszcza do mnie oko i mówi: „Wiem, co jem”. Nie rozumiem, ale uśmiecham się życzliwie. Po minucie to samo: „Wiem, co jem”. Myślę, że może w związku z jakąś rygorystyczną dietą dziewczyna przechodzi kryzys. Dopiero za trzecim razem przypomniałem sobie plakat firmy mięsno-wędliniar-skiej „Sokołów” z tak brzmiącym hasłem: „Wiem, co jem” (śmiech). Niestety, to nie rodzina.

Kiedyś w „Głosie Pomorza” dałem na pierwszą stronę kilkanaście zdjęć osób zagnionych z przeterminowanej bazy policyjnej. Większość zgłoszeń była już nieaktualna. Jedna z kobiet od trzech lat pracowała, wychowywała dzieci. Najdalej z kwiatami byłem pod Kaliszem Pomorskim.

– Dałem do tekstu archiwalne zdjęcie mężczyzny pracującego przy jakimś urządzeniu w odlewni, która była przy Powstańców Wielkopolskich. Kto by pomyślał, że gość nie żyje? Zmarł dwa tygodnie wcześniej, fotografia miała miesiąc.

To dość częste wpadki. Zdarzyło mi się dać do druku sondę ze zdjęciami, wśród nich fotografię kobiety, która tego samego dnia, gdy udzieliła odpowiedzi, po powrocie z pracy do domu zmarła. Dowiedziałem się o tym, kiedy parę dni później zobaczyłem kondolencje i skojarzyłem nazwisko.

– Fotografowałem umocnienia z czasów wojny, które zachowały się na plaży w okolicy Mielnika. Samochód zostawiłem przy głównej ulicy. Na miejscu okazało się, że jest jakiś cień, więc plan trzeba doświetlić lampą. Jak wałęsałem światłem, z bunkra wybiegło trzech facetów. Nawet się nie zastanawiali: jeden wymachiwał łopatką, drugi z butelki zrobił tulipana. Trafiłem na obszczymurków, którym zakłóciłem libację. W życiu znikąd tak nie spałem.

Jeżeli to był konkurs na największą opresję, czuję się pokonany.

– Tych historii było dużo więcej, nie wszystko pamiętam.

Nieźródłany był Jurek Patan. On musiał mieć jakieś specjalne miejsce w mózgu na te anegdoty. 40 minut gawęd bez przerwy – to była rozgrzewka. O ile nie spieszył się, wystarczył uścisk ręki i ruszał one man show.

– Przy tym Jurek potrafił w tych opowieściach umiejętnie budować napięcie i dobrze puentował, a to w anegdotach najważniejsze.

Masz biblioteczkę swoich publikacji?

– Nie (śmiech). Wiem, że to dziwne, ale nie mam natury zbieracza. Moja siostrzenica mówi: „Wujek, ty masz tych swoich rzeczy mniej niż mama”. Dużo rozdaję, niczego nie zbieram, nie gromadzę.

Dlatego zdecydowałeś się na przekazanie wszystkiego do archiwum?

– Złożyło się na to kilka czynników. Te porządki przedemerytalne, to raz, dwa: moje przemyslenia na temat przemijania i próby odpowiedzi na pytanie: „Co zrobić z tym, co mam”, a trzy

– nadzieja, że z moich zbiorów ktoś jeszcze skorzysta w dobrym celu. Archiwum stwarza niespotykaną możliwość zdeponowania wartościowych artefaktów i źródeł informacji.

Niczego wcześniej nie zniszczyłeś?

– Niestety, zanim zdecydowałem się na współpracę z archiwum, trochę tego poszło do niszczarki, czego teraz żałuję. Jednak większość prac wcześniej zeskanowałem, więc to mniejsza strata. Chociaż, oczywiście, największe znaczenie mają oryginały, to z nich archiwiści są najbardziej zadowoleni.

Ile zdjęć przekazałeś do archiwum?

– Kilkanaście tysięcy, z różnych okresów. Dużo bezpowrotnie straciłem. Nie zachowały się również przez mój odwieczny kłopot z archiwizowaniem pracy.

Nie jesteś w tym odosobniony, to problem większości fotografów.

– Często o tym rozmawiamy. Każdy z nas ma inną metodę i każdy na nią narzeka. Nie ma optymalnej. Najważniejsza jest konsekwencja, a o nią najtrudniej. Wszystko trwa, staramy się, żeby trwało jak najkrócej. Jak do tego dodasz nawet kwadrans dziennie na porządki, człowiek ma jeszcze większe poczucie, że to strata czasu.

Teraz są specjalne programy do archiwizowania zdjęć.

– Tak czy owak, trzeba mieć w tyle głowy to samo poczucie obowiązku: siadam, segreguję, opisuję, wrzucam do folderów, na dysk i tak dalej. Masz archiwum swoich tekstów?

Wszystkiego, co może być potrzebne, również tekstów, całych publikacji, skanów, zdjęć, fotokopii. Właśnie dobijam do terabajta danych. Dwie kopie, chmura. Wiem, o czym mówisz.

– Podziwiam, w ramach rewanżu (uśmiech). Musiałem porządnie wziąć się do roboty, żeby uporządkować to, co mam, a wciąż czuję, że powinienem zrobić więcej. Ale, wiesz, najciekawsze jest to, że zawsze próbowałem! A to latami, a to gminami, a to tematami, a to lokalizacjami. Za każdym razem trwało to jakiś czas, aż w końcu opadłem z sił,



Krzysztof Sokół
1995 r.

poddawałem się i wszystko znowu szło na pulpit albo do przypadkowych folderów na dysku twardym.

Pulpit to najgorsze miejsce do przechowywania czegokolwiek.

– Za to najlepsze do znalezienia tego, czego szukasz. Problem archiwizowania zdjęć mam już chyba za sobą, wszystko zdeponowałem w archiwum (uśmiech). Mogę na to spojrzeć z pewnym dystansem.

W fazie projektowania albumu Dorota Cywińska przestała mi do przejrzania kilka tysięcy twoich zdjęć.

– Nie mów, że musiałeś czegokolwiek szukać.

Wśród bardzo wielu: pięć folderów z opisem „Koszalin dwa tysiące pięć” z kilkuset zdjęciami opisanymi kolejno: „Koszalin zero zero jeden”, „Koszalin zero zero dwa” i tak dalej. Ilekroć do tego siadałem, tylekroć okazywało się, że mam pilną potrzebę naostrzenia ołówków, których nie używam. Znasz to?

– Oczywiście (uśmiech).

Jesteś fotoreporterem rozpoznawalnym?

– Nie (uśmiech). Muszę powiedzieć, że to wielkie moje szczęście, bo jestem z natury człowiekiem skromnym i nie lubię rzucać się w oczy. Ale jak już ktoś mnie zna, pozna za drugim i trzecim razem, więc jednak wpadam w oko.

O skromności mówi ktoś, kto w sumie i przy różnych okazjach spędził dwa tygodnie stojąc tyłem przed tysiącami ludzi.

– Trafne spostrzeżenie: tyłem. Wciąż aktualne jest to, co powiedziałem na początku rozmowy: nie nadaję się do tego. Ludzie, którzy znają moje zdjęcia, na ogół mnie nie kojarzą, może niektórzy z widzenia. Kiedyś, w przypadkowej rozmowie o fotografii, usłyszałem od kogoś: „A wie pan, ten Sokół z <Głosu> to nawet niezłe zdjęcia robi”. Przytakiwałem uprzejmie (uśmiech).



← fot. 265 | str. 186

Festiwal Chórów Polonijnych,
występy kapel przed ratuszem
1979 r.

fot. 267 | str. 187 →

Występ orkiestry wojskowej,
Rynek Staromiejski
lata 2000

↓ fot. 266 | str. 187

Występ orkiestry wojskowej,
Rynek Staromiejski
lata 2000





← fot. 268 | str. 188

Festiwal Orkiestr Dętych
Ochotniczych Straży Pożarnych
1979 r.

fot. 269 | str. 189 →

„Podwórkowy basen”
lata 80. XX w.





↑ fot. 270 | str. 190

Ówczesna ulica Dzierżyńskiego
(obecnie ul. Konstytucji 3 Maja)
lata 90. XX w.

↓ fot. 271 | str. 190

Ulica Barlickiego
lata 2000.



↑ fot. 272 | str. 190

Pożar samochodu,
ul. Krakusa i Wandy
lata 2000

fot. 273 | str. 191 →

Ulica Jana Pawła II
lata 90. XX w.



← fot. 274 | str. 191

Wystawa psów
lata 90. XX w.

↓ fot. 275 | str. 191

Piknik Unijny
2003 r.





← fot. 276 | str. 192

Festiwal Chórów Polonijnych,
Rynek Staromiejski
2000 r.

↓ fot. 277 | str. 192

Festiwal Chórów Polonijnych,
Rynek Staromiejski
2000 r.



↓ fot. 278 | str. 193

Modlitwa przed kapliczką,
Raduszka
lata 90. XX w.



fot. 279 | str. 193 →

Uliczny grajek,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.





↓ fot. 281 | str. 194

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.



← fot. 280 | str. 194

Święcenia alumnów
koszalińskiego seminarium,
katedra pw. Niepokalanego Poczęcia NMP
lata 90. XX w.



↑ fot. 282 | str. 195

Dworzec PKP
lata 90. XX w.

fot. 283 | str. 195 →

Ulica Piłsudskiego
lata 2000





↑ fot. 285 | str. 196

Park Książąt Pomorskich
lata 2000

← fot. 284 | str. 196

Tydzień Kultury Studenckiej,
przed ratuszem
lata 90. XX w.

fot. 286 | str. 197 →

Członkowie
Polskiego Związku
Hodowców Gołębi
Pocztowych
2005 r.



↓ fot. 287 | str. 197

Piknik przed wejściem Polski do Unii,
plac przed amfiteatrem
2003 r.



↑ fot. 288 | str. 197

Zbieracz makulatury
lata 90. XX w.



← fot. 289 | str. 198

Pomnik diakonis „Salem” przy szpitalu,
ul. Chałubińskiego
lata 90. XX w.

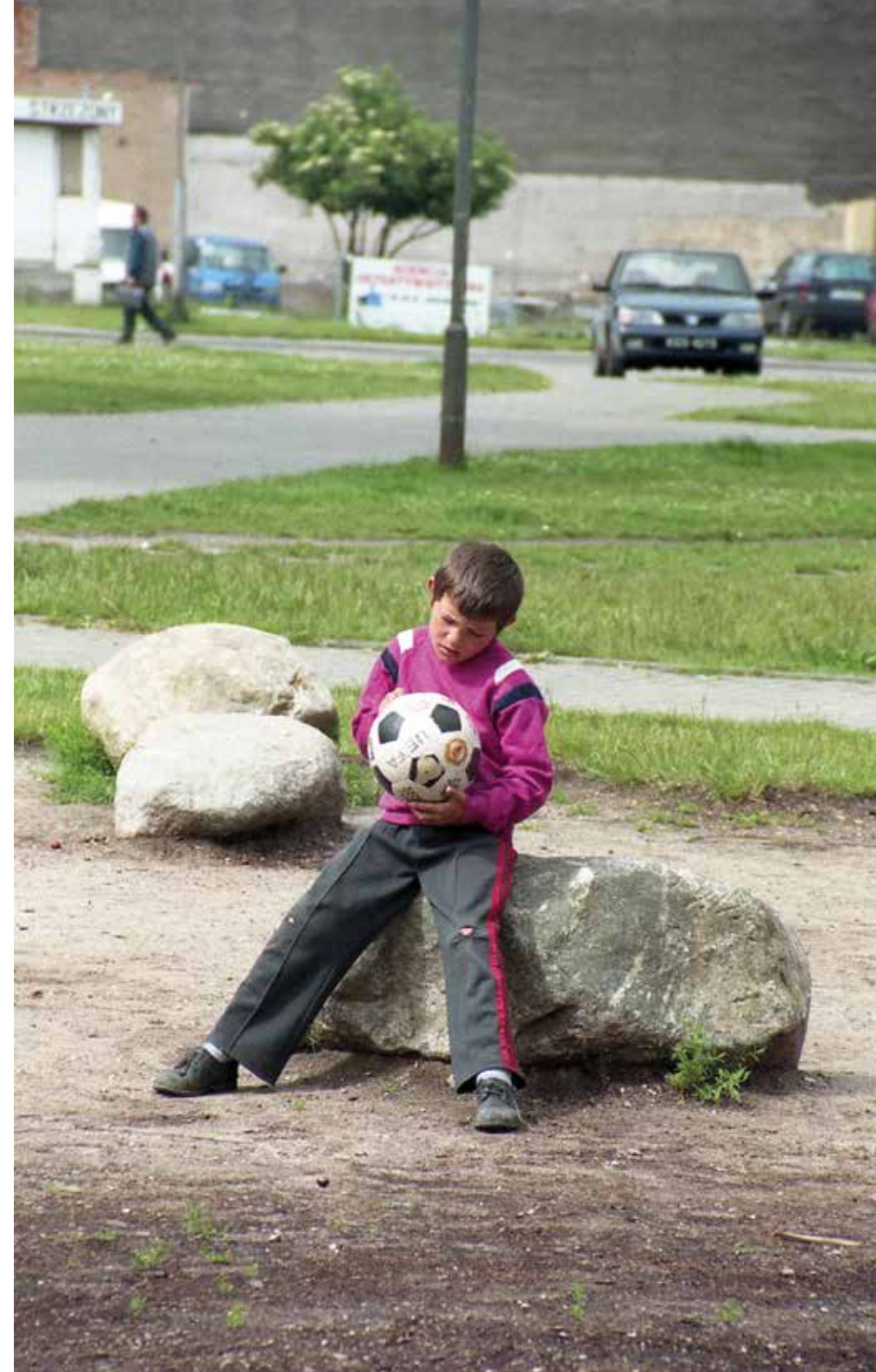
fot. 290 | str. 199 →

Portret chłopca
lata 90. XX w.



↑ fot. 291 | str. 199

Antykwariat,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.





fot. 293 | str. 200 →

Lata 90. XX w.



← fot. 292 | str. 200

Lata 90. XX w.

fot. 295 | str. 201 →

Lata 80. XX w.

↓ fot. 294 | str. 201

Lata 80. XX w.





← fot. 296 | str. 202

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.



↑ fot. 297 | str. 202

Skup makulatury,
ówczesna ul. Kniewskiego
(obecnie ul. Wańkowicza)
lata 80. XX w.



↑ fot. 298 | str. 203

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.



fot. 299 | str. 203 →

Rynek Staromiejski
2000 r.

↓ fot. 300 | str. 204

Spotkanie z Lechem Wałęsą, amfiteatr
lata 80. XX w.



fot. 301 | str. 205 →

Spotkanie z Lechem Wałęsą,
widownia amfiteatru
lata 80. XX w.





← fot. 302 | str. 206

Góra Chełmska
lata 90. XX w.

fot. 304 | str. 207 →

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.

↓ fot. 303 | str. 207

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.





fot. 307 | str. 209 →

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

← fot. 306 | str. 208

Ówczesna ulica Armii Czerwonej
(obecnie ulica Piłsudskiego)
lata 80. XX w.

← fot. 305 | str. 208

Skwer miejski
lata 90. XX w.





← fot. 308 | str. 210

Ulica Młyńska
lata 90. XX w.



↑ fot. 309 | str. 211

Ulica Zwycięstwa
lata 90. XX w.



↑ fot. 310 | str. 211

Ulica Franciszkańska
lata 90. XX w.

fot. 313 | str. 213 →

Plac Bojowników PPR
lata 80. XX w.

↓ fot. 311 | str. 212

Koncert ulicznej kapeli
przed Domem Handlowym „Saturn”
lata 90. XX w.



↓ fot. 312 | str. 212

Ulica Zwycięstwa
2003 r.







fot. 315 | str. 214 →

Wiosenne porządki
Lata 90. XX w.



← fot. 314 | str. 214

Pielgrzymka
na Górze Chełmskiej
lata 90. XX w.

↓ fot. 316 | str. 215

Zakład kamieniarski,
ul. Gnieźnieńska
lata 80. XX w.



fot. 317 | str. 215 →

Wiosenne porządki,
ul. Jedności
1985 r.





← fot. 318 | str. 216

Koszalińska Kolej Wąskotorowa
lata 90. XX w.

fot. 320 | str. 217 →

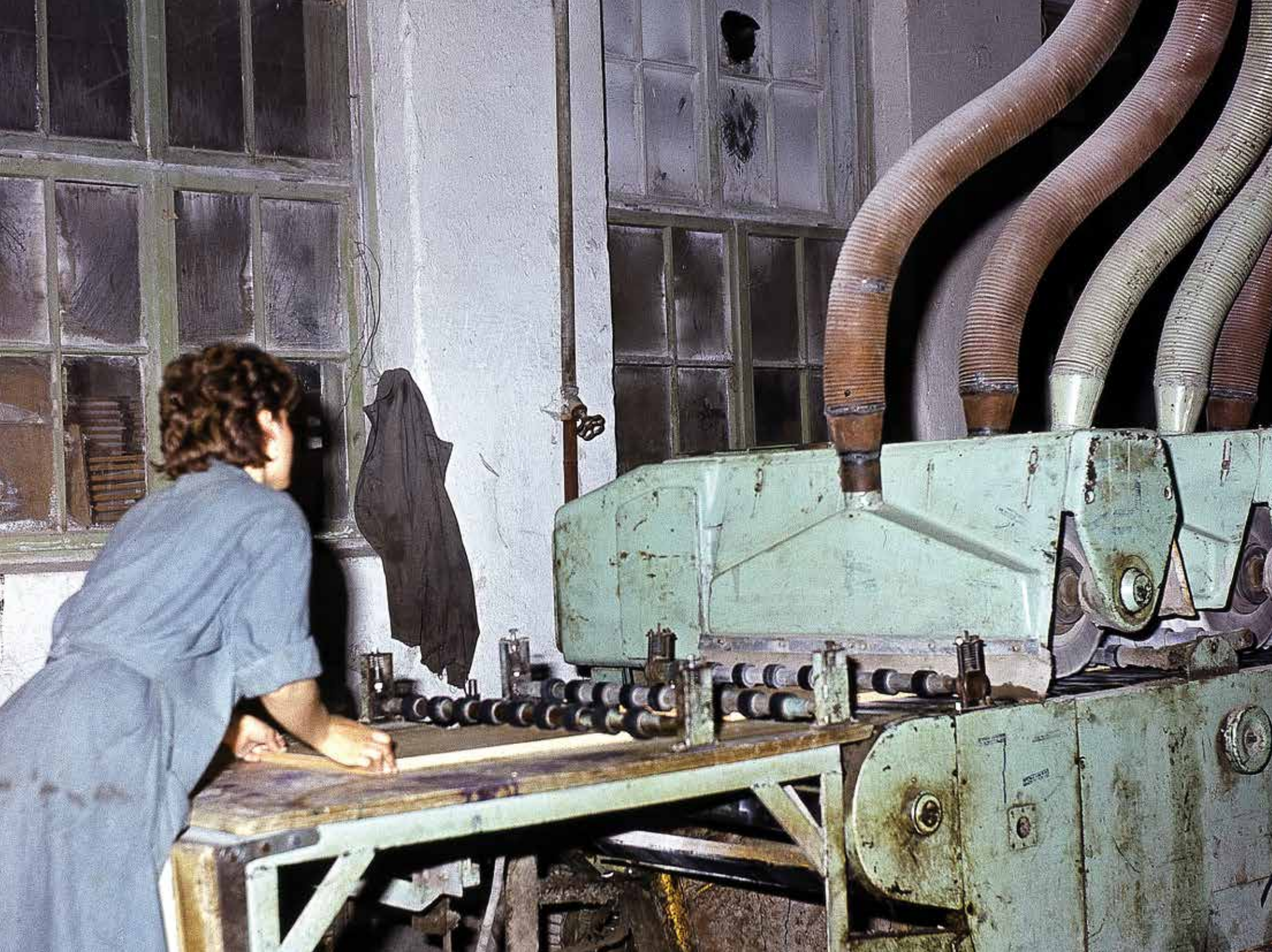
Pochód pierwszomajowy,
ul. Zwycięstwa
1983 r.



↑ fot. 319 | str. 216

Przed obeliskiem „Dąb Pokoju”,
ul. Zwycięstwa
lata 90. XX w.





fot. 322 | str. 219 →

Zakłady cukiernicze
„Bogustawka”
1983 r.

fot. 323 | str. 219 →

Zakłady cukiernicze
„Bogustawka”
1983 r.

← fot. 321 | str. 218

Wytwórnia płyt
paździerzowych „Płytolen”
1983 r.



fot. 324 | str. 219 →

Koszalińska Wytwórnia Części
 Samochodowych
 1983 r.





← fot. 326 | str. 220

Likwidacja restauracji „Tawerna”
ul. Zwycięstwa
lata 2000



← fot. 327 | str. 220

Zakład szewski,
ul. Podgrodzie
lata 90. XX w.

← fot. 325 | str. 220

Reporter koszalińskiej redakcji TVP
Antoni Górkiewicz
lata 90. XX w.



↑ fot. 329 | str. 221

Park Książąt Pomorskich
lata 90. XX w.

← fot. 328 | str. 221

Fotografka Ilona Łukjaniuk,
Rynek Staromiejski
lata 2000



↓ fot. 331 | str. 222

Spotkanie z rzeźbiarzem Janem Kowalczykiem,
Szkoła Podstawowa nr 17
lata 90. XX w.



← fot. 330 | str. 222

Góra Chełmska
lata 90. XX w.



← fot. 332 | str. 223

Fontanna
w Parku Księżąt Pomorskich
lata 90. XX w.



← fot. 333 | str. 224

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.



↑ fot. 334 | str. 224

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.

↓ fot. 336 | str. 225

Spotkanie Świadków Jehowy, stadion
Gwardii Koszalin
lata 90. XX w.



↑ fot. 335 | str. 225

Spotkanie Świadków Jehowy,
stadion Gwardii Koszalin
lata 90. XX w.





← fot. 337 | str. 226

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.

fot. 339 | str. 227 →

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.



↑ fot. 338 | str. 227

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.



fot. 340 | str. 227 →

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.





↑ fot. 341 | str. 228

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.



↑ fot. 342 | str. 228

Giełda koszalińska
lata 90. XX w.

fot. 344 | str. 229 →

Wystawa psów,
stadion „Bałtyk”
lata 90. XX w.

↓ fot. 343 | str. 229

Wystawa psów,
stadion „Bałtyk”
2000 r.





← fot. 345 | str. 230

Posesja przy ulicy Obotrytów
2000 r.

↓ fot. 346 | str. 230

Wystawa psów,
stadion „Bałtyk”
2000 r.



fot. 347 | str. 231 →

Wystawa psów,
stadion „Bałtyk”
lata 90. XX w.





← fot. 348 | str. 232

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.

↓ fot. 349 | str. 233

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.



fot. 350 | str. 233 →

Rynek Staromiejski
lata 90. XX w.



↓ fot. 351 | str. 234

Amfiteatr
lata 80. XX w.



fot. 352 | str. 234 →

Wybory Miss Polonia,
amfiteatr
1983 r.



fot. 353 | str. 234 →

Wybory Miss Polonia,
amfiteatr
1983 r.





fot. 354 | str. 235 →

Egzamin maturalny
z języka polskiego
w Zespole Szkół
Elektroniczno-Elektrycznych
lata 80. XX w.



← fot. 355 | str. 236

Egzamin maturalny
w Zespole Szkół
Elektroniczno-
Elektrycznych
lata 90. XX w.

fot. 357 | str. 237 →

Lata 2000

↓ fot. 356 | str. 237

1999 r.





↑ fot. **358** | str. **238**

2009 r.



↑ fot. **359** | str. **238**

1985 r.

ZAKOŃCZENIE

Kandydat na kuratora
muzeum rzeźby



Dokąd konkretnie jeździsz na wschodzie kraju?

– Cała ściana wschodnia jest piękna. Jestem zakochany w tym rejonie. Mógłbym tam spędzać każdą wolną chwilę. Tam mnie ciągnie.

Suwalszczyzna?

– Tak mniej więcej od Siemiatycz do Suwałk. Białystok też jest piękny, ale już trochę inny. Jeżdżę tam, gdzie mogę kogoś spotkać lub coś zobaczyć.

Kiedyś pojechałem do Suwałk przez Braniewo. Nie polecam.

– Jeździłem na wschód wieloma trasami, najbardziej lubię dołem, przez Grudziądz, ale przez Braniewo jeszcze nie (uśmiech).

Dziury na drogach i najdroższy internet w Europie.

– A, tak. Rosjanie. Niestety, to też daleko. Zresztą w Polsce wszędzie jest daleko. Na szczęście w ostatnich latach powstało wiele nowych dróg, a inne udało się naprawić. Bez eski siódemki trudno dzisiaj wyobrazić sobie w miarę szybką podróż z zachodu na wschód.

Z Koszalina do Brukseli jest tysiąc kilometrów, a do Białegostoku sześćset – taka to skala odległości.

– Dlatego niektórzy wsiadają w pociąg, śpią, a na miejscu wynajmują samochód i wracają do siebie w ten sam sposób. Byle do Gdyni, Trójmiasta, chociaż zdaje się, że są już połączenia bezpośrednie na przykład z Suwałkami.

Tam trzeba jechać na kilkanaście dni.

– Obowiązkowo, kilka to jak zjeść przystawkę, a nie skosztować żadnego z dań. Nie ma mowy, żeby wgryźć się z ten region. Byłeś na Garbarce?

Nie.

– Garbarkę trzeba zobaczyć. Przypomina słynne wzniesienia z krzyżami na Litwie, tyle że tu mamy świętą górę krzyży prawosławnych. Z sąsiednią pustelnią robi niesamowite wrażenie. Zrobiłem stamtąd fajny fotoreportaż. Garbarka to największe w Polsce miejsce spotkań wyznawców prawosławia.

Na mnie wrażenie zrobiła Buda Ruska.

– Tam, gdzie pomieszkują byli prezydent Bronisław Komorowski z małżonką?

Nie dlatego. Tam każdego roku, nawet w pandemii...

– ... bo oni tam naprawdę mają przestrzeń do zachowania dystansu (uśmiech)...

... to prawda... organizowany jest Festiwal Literacki. Na podwórko pod szesnastką, do Pawła Malczewskiego, fotografa i podróżnika, który ma tam najstarszy we wsi stuletni dom z pokojami gościnnymi, Muzeum Mongolii i Galerię Fotografii, zjeżdżają wybitni pisarze, reportażyści, publicyści. Warto pojechać.

– A to wszystko nad brzegiem...

... Czarnej Hańczy, oczywiście. Masz rację, tam wszystko jest nad jakimś brzegiem. A kilkadziesiąt metrów od niego stoi czarna bania.

– Bez łaźni ani rusz (uśmiech).

Tam są same miejsca do polecenia.

– Jak ktoś jedzie na wschód, na Podlasie, Suwalszczyznę czy Białostoczczyznę, z nadzieją, że od razu dotknie magii tej krainy, jest w błędzie, a właściwie w trudnej sytuacji, bo wyjedzie stamtąd z dotkliwym uczuciem niedosytu. Można wracać i wracać, a i tak nikomu nie grozi przesycenie.

Najlepiej tam zamieszkać. Chociaż znam ludzi z okolic Suwałk, którzy marzą o urlopie nad polskim morzem.

– Wschód bardzo różni się od siebie. Lublin i Suwałki to dwa różne regiony, chociaż na tej samej ścianie. Podobnie jest u nas: pojedź z Koszalina w prawo, a następnym razem w lewo. Nawet samo wybrzeże wygląda inaczej.

Przypuszczam, że każdy, kto wrócił z zachodniego wybrzeża i zwiedza wschodnie, nabiera wrażenia, że te obszary budowały inne kultury. Pomimo atrakcyjności granicy z Niemcami, część wschodnia ma właściwości magnetyczne.

– Tak, to prawda. Każda miejscowość na wybrzeżu ma swój osobny charakter. Niby wszystkie są do siebie podobne, mimo to inaczej oddziałują na człowieka. To naturalny wpływ wszystkiego: kultur, historii, architektury, a nawet przeznaczenia.

Z drugiej strony, pojedź do Świnoujścia i do Piasków na Mierzei Wiślanej. Na zachodzie powitają cię miasteczka jak folderu turystycznego, a na wschodzie drut kolczasty.

– Na dodatek wyobraźnia podpowiada ci, że gdzieś tam na piaskach i wydmach pochowane są lufy wymierzone w nieproszonych gości. Masz rację, tych skojarzeń nie da się uniknąć.

Odwiedzamy wszystkie trójstyki. Ten z Rosją, nazywany „Wisztyńcem”, otoczony jest masą legend terenowych. Ledwie tam podjechalśmy, od razu ktoś powiedział, że straż graniczna sąsiadów potrafi strzelać do ludzi, którzy wchodzą na pas graniczny. Obejście stupa jest zabronione!

– Bo to, z punktu widzenia prawa międzynarodowego, nielegalne przekroczenie granicy. Każda granica budzi emocje, nawet kiedy jej nie ma. Jak w Ogrodnikach wjeżdżasz na Litwę, po organizacji przejścia pozostały tylko w części puste budynki, stare pawilony kantorów i sklepików, oznaczenia poziome na asfalcie. Mimo to ludzie zatrzymują się i fotografują w tym miejscu. Bo kiedyś tu była granica.

Dlatego warto, a nawet trzeba, znosić wszelkie granice.

– Poza granicą rozsądku, rzecz jasna. Dokładnie tak jest z granicami w fotografii. Komercyjna i artystyczna, cyfrowa i analogowa, amatorska i zawodowa – dzisiaj już nikt, kto ma pojęcie o fotografii, nie stawia takich granic. Jak mówiliśmy, wszystko jest płynne.

Co robisz na emeryturze?

– Mam szkołę, trochę fotografuję, ale głównie dla przyjemności. Dzięki kontaktom jeżdżę na plenery, spotykam się z ciekawymi ludźmi, z którymi jest mi po drodze. Opuściłem sobie trochę, niewiele, ale jednak. Nie czuję nadmiaru czasu wolnego, sądziłem, że będzie go więcej i na przykład zajmę się swoim archiwum, nie tylko fotograficznym (uśmiech). Nic z tych rzeczy.

Bo prawda jest taka, że później czas płynie szybciej.

– Wiele osób tak mówi, szczególnie po „sześćdziesiątce” (uśmiech). Czasami odnoszę wrażenie, że fizycznie jest to możliwe.

Od trzydziestu lat w Polsce ludzie więcej pracują niż zarabiają.

– Przed transformacją było podobnie, a może gorzej. U nas zawsze obowiązywał kult pracy, a nie płacy.

To wszystko spuścizna systemu feudalnego i szkoły pruskiej.

– Podział społeczeństwa na kasty, a nie klasy, wciąż obowiązuje.

Wiesz, kiedy oficjalnie ogłoszono upadłość ostatniego układu feudalnego w Europie? Nie uwierzysz. W 2008 roku.

– Niektórzy ludzie wciąż mają pełnię władzy publicznej (uśmiech). Jak daleko sięgnę pamięcią, zawsze problemem było utrzymanie się na zadowalającym poziomie. Teraz myślę koniunkturalnie: skoro pieniądze przyjdą na konto, zrobię to, co niezbędne lub przyjemne. Od tych chłodnych kalkulacji, po tylu latach gonitwy, po prostu nie da się uciec.

Swego czasu odwiedziłem śp. kardynała Ignacego Jeża. Spacerowaliśmy po dziedzińcu, oglądaliśmy jego biblioteczkę. Pokazał mi stos książek ze słowami: „To przygotowałem do lektury, ale nie mam czasu przeczytać”. Później zaprowadził mnie do sąsiedniego pokoju, wskazał segmenty książek i powiedział: „To miałem przeczytać na emeryturze, ale chyba mi życia nie wystarczy”.

– Nie chcę się porównywać, oczywiście, ale mam to samo (uśmiech). Planowałem, że na emeryturze od razu pojadę w dwa miejsca, w których byłem za komuny, ale chciałem pojechać ponownie – do Gruzji i do Armenii. Na razie nie mam czasu, żeby pomyśleć, jak to zrobić. Poza tym pandemia nie ułatwiała wyjazdów. Zostało mi trochę zdjęć do przejrzania i przebrania. Nie jest źle, tylko wszystko robię wolniej, nie czuję pośpiechu.

Inny klasyk powiedział: „Z biegiem lat coraz mniej muszę”.

– O to chodzi!

A co teraz musisz na pewno?

– Niedawno powiedziałem komuś, kto bardzo mnie do czegoś przekonywał, że jestem w wieku, kiedy muszę już tylko zastanawiać się, jak zdążyć z wydaniem tego, co mam. Nie wiadomo, ile człowiek przeżyje. Nawet pracy dla gazety, którą lubiłem, już mi nie brakuje. Chociaż czasami coś każe mi wejść w buty fotoreportera.

Tak samo są wygodne, jak niegdyś?

– Trochę się rozchodziły (uśmiech). Ale daję radę, jeżeli o to pytasz, chociaż z dzisiejszej perspektywy widzę, że rzeczywiście pracowałem bardzo intensywnie. Teraz dziwię się, jak sobie radziłem i – o co pytałeś – jak dzieliłem ten czas. Nie wiem, czy dzisiaj potrafiłbym tak żyć.

Jak odpoczywasz?

– Nie poluję, nie wędкую. Do jeziora mam dwa kilometry, rzekę niedaleko, a dokoła lasy, które znam, więc wszystko mam pod ręką. Kawę mogę wypić na tarasie lub w ogrodzie. Co nie oznacza, że już nigdzie nie jeżdżę (uśmiech). Jeżdżę sporo. Na dłużej pojedę, kiedy nacieszę się emeryturą.

Skąd u ciebie zainteresowanie rzeźbą ludową?

– Drewnianą rzeźbą ludową (uśmiech) – to ważne. Rzeczywiście, cały dom mam w rzeźbach. Zwożę kolejne ze wszystkich stron kraju. Jak to się zaczęło? Po ślubie nie było nas stać na obrazy, a wśród dzieł sztuki żyje się pogodniej. W 1976 roku ktoś dał mi pierwszą pracę, w zamian za zdjęcia pamiątkowe z Chórów Polonijnych. We wnętrzach ta rzeźba dobrze się przyjęła.

Może powinieneś sam sięgnąć po dłuto.

– Widocznie każdy ma swoją dziedzinę sztuki. Ale rzeźby lubię także fotografować i chyba mam do tego rękę.

Tak imponujący zbiór warto wystawić, pokazać ludziom.

– Czy on jest imponujący? Nawet nie wiem, czy autorzy tych prac jakoś przebili się na rynku sztuki. Czy, a jeżeli tak, to ile warte są ich prace? Jakość oceniam po sposobie odbioru, czyli tak, jak mówiliśmy. Bez opinii eksperckiej wiem, co jest dziełem sztuki, bo wtedy w kontakcie czuję ukojenie, zaspokojenie moich potrzeb estetycznych. Robi mi się dobrze, kojąco, łagodnie.

To dobra definicja sztuki i dzieła.

– Druga, chyba ta jednak bardziej popularna, czyli przez kieszeń do wrażliwości, też mnie przekonuje (uśmiech).



Rzeźba „Chrystus Frasobliwy”
autorstwa Jana Kowalczyka
2003 r.

Jak rozumiem, budowa kolekcji wciąż trwa.

– Coraz mniej mamy miejsca na jej rozbudowę.

Zawsze możesz powołać w Świeszynie prywatne muzeum rzeźby ludowej.

– Widzisz mnie w kapciach i ze wskaźnikiem?

Szczerze? Teraz, kiedy jesteś na emeryturze, taka fucha mogłaby być postrzegana jako przejaw twojej ekstrawagancji.

– Wolę popykać fajkę i porobić zdjęcia (uśmiech). Pieca nie mam, więc nawet tego, co robi mniejsze wrażenie, nie mógłbym spalić (śmiech).

Od ilu lat jesteś fajczarzem?

– Och, trudno policzyć (uśmiech).

Dlaczego nie papierosy?

– Papierosy popalałem w technikum. Mieliśmy zastępcę dyrektora, który regularnie ścigał palaczy i miał dobrą metodę. Każdy, kogo złapał, musiał w jego gabinecie wypić kieliszek tranu. Niektórzy po poczęstunku wracali za salę sportową, żeby kolejną fajkę zabić po-smak tranu. Papierosy, przede wszystkim, śmierdzą.

Spróbuj powiedzieć kobiecie, że fajka pachnie.

– Ależ to najlepszy tytoń na świecie, najbardziej szlachetny, a nie uszlachetniony, bo to ogromna różnica!

Jak znosi fajkę twoja żona?

– Walczy z moim paleniem.

Czyli palisz w domu.

– Jak mogę fajki nie palić w domu? Kiedykolwiek paliłeś fajkę?

Palilem cygara, ale tylko dobre.

– Zaciągałeś się cygarem?

Kilka razy próbowałem. Nie polecam, chociaż znam zawodowców, na których to nie robi wrażenia.

– Muszą mieć stalowe płuca.

Przyzwyczaili się albo wcześniej palili fajkę.

– Rozumiem złośliwość (uśmiech). W fajce też nie chodzi o to, żeby się zaciągać. Robię to rzadko, od czasu do czasu.

A o co chodzi w fajce?

– Liczy się sam aromat. Jak papierosy paliło się w ciemni, to ten dym, w połączeniu z chemią fotograficzną, dawał efekt, po którym ciężko było zogniskować spojrzenie. Bibułka nasiąkała wilgocią. Palącego się papierosa nie odłożysz bezpiecznie dla otoczenia.

Wiedzą o tym wszystkie tapczany świata.

– Podpatrzyłem fajkę u fotografa, który z Gdańska przyjechał do Jurka, do WDK-u. Ta fajka w ogóle nie przeszkadzała mu w pracy z aparatem i w ciemni, przy tym było w jej paleniu coś... wygodnego.

W życiu nie potoczyłbym tego słowa z fajką.

– „Zobacz” – mówił i od razu demonstrował. – „Z fajką nie masz żadnych kłopotów. Nie potęguje smrodu chemii. Możesz trzymać ją w zębach aż do wygaśnięcia i jeszcze dłużej. Tytoń ma przyjemny aromat”.

Można powiedzieć, że uległeś twardej argumentacji.

– Tak! (uśmiech). Przekonał mnie. Zacząłem czytać w „Przekroju” rubrykę „Fajka mniej szkodzi” i tak to się zaczęło. Później kupiłem sobie pierwszą fajkę.

Ile lat wtedy miałeś?

– Dziewiętnaście, może dwadzieścia. Dzisiaj, jak kupujesz, fajka jest już wypalona, czyli gotowa do użycia. Wówczas nikt mi nie powiedział, że świeżo zakupioną trzeba wypalić. Męczyłem się jakiś czas paląc amforę z „Peweksu”, ale głównie czułem zapach kopcącego się kawałka drewna.

A, przypomnijmy, nie było internetu.

– Ale miałem uczoną babcię, która była lepsza od internetu. Babcia wzięła tę moją fajkę, obejrzała ją i powiedziała: „Wiesz co, mam po dziadku jego stare fajki”. Olśnienie i pocieszenie. Przyniosła mi sześć czy siedem fajek należących do dziadka. Natychmiast i to dosłownie poczułem różnicę.

Masz do dzisiaj te fajki dziadka?

– Wypaliłem je, może gdzieś została ostatnia. Fajka sama w sobie ulega zniszczeniu pod wpływem palenia tytoniu. Co jakiś czas trzeba kupić nową. Tamte od dziadka paliłem dość intensywnie. Amforę kupowałem również w „Baltonie”. W Darłowie był sklep, do którego towary wstawiali marynarze, miałem dostęp do dobrego tytoniu. Łatwo policzyć, że fajkę palę ponad 40 lat.

Masz kolekcję i swoją ulubioną?

– Fajek mam ze trzydzieści, ale to raczej nie kolekcja, a ulubionych kilka. Dostępność dobrego tytoniu jest coraz mniejsza. Kiedyś miałem wybór, a amfora była amforą. Teraz podobno producenci do tytoniu fajkowego dodają substancje antyrakowe i to już nie jest ten sam aromat (uśmiech). Koleżanka przywiozła mi z lotniska w Turcji amforę, która była dokładnie taka, jak dawniej.

Dziesiątki razy pisałem o Koszalińskim Klubie Fajki.

– Dostałem zaproszenie, żeby do niego wstąpić.

Przekonałem się, że to cała kultura, spotkania, a nawet mistrzostwa w paleniu fajki na czas. Fajczarze dostają tyle samo tytoniu, a kto pykając regularnie wypali go najwolniej, zdobywa nagrodę. Ważne jest właściwe ułożenie tytoniu w kominie. Ile dziennie fajek wypalasz?

– Kilka. Wiele osób kojarzy mnie, jak nie z aparatem, to właśnie z fajką. Niektórzy podejrzewają, że w fajkach palę co innego (uśmiech).

A można?

– Wszystko zależy od tego, czym ją załadujesz. Jednak nie wiem, czy wtedy miałbym jasność umysłu niezbędną do robienia czytelnych zdjęć (uśmiech). Mam kolegę, który robił różne mieszanki. Nie udało mu się przekonać mnie do ich spróbowania, ale zgodził się na to nasz wspólny znajomy.

Z jakim rezultatem?

– Wątpię, czy wiedział, z czym ma do czynienia, bo relacja z tego spotkania brzmiała mniej więcej tak: „Poczęstował mnie tytoniem, skręciliśmy papieroski. Postaliśmy, pogadaliśmy, jakoś tak lepiej mi się zrobiło. Bo dobry tytoń to podstawa, Krzysiu” (śmiech). Bo to prawda! Kolega miał problemy z wchodzeniem na swoje trzecie piętro, a tego dnia wbiegł na górę.

Instynkt, intelekt i intuicja. Czy taka kolejność jest najlepsza?

– Może intelekt pierwszy? Ale przekonujemy się o tym dopiero w późniejszych latach. A tymczasem obrazek składa się sam, chociaż naszymi rękoma, a właściwie decyzjami. Nawet, jeżeli w konkretnej sprawie wydaje się nam, że nie mamy nic do powiedzenia, to sama nasza obecność tę sprawę zmienia.

Aż w końcu któregoś dnia...

– ... a ten dzień może być każdego dnia (uśmiech), orientujemy się, że obrazek powstał, czyli został do końca złożony.

Co przedstawia?

– Ilustrację naszego życia. To, co zawsze chcieliśmy, żeby przedstawiał. Czy wszystkim udaje się go złożyć? Nie sądzę.

Co dalej?

– Nic. Stało się, finał. Wtedy rozsiadamy się w życiu wygodnie, oddychamy swobodnie i ze spokojem czekamy na przyszłość (uśmiech).

Nie mogę nie zapytać cię o pandemię.

– Pytaj (uśmiech). Wybuchła akurat, kiedy szykowałem się do przejścia na emeryturę, robiłem porządki.

Co zmieniła w twoim życiu?

– Nie wiem, czy już dzisiaj wiem to dokładnie.

Czuję, że coś zmieniła, ale nie bardzo wiem, co.

– Nie stałem się bardziej nieufny. Nie mam poczucia większego zagrożenia. Staram się żyć, jak żyłem. Jak wiele osób, przez dłuższy czas unikałem skupisk ludzkich i rezygnowałem z propozycji, które wiązały się z pracą w tłumie.

Śmierć trzystu osób dziennie nie pozostawiła nas obojętnymi.

– Tak, to przerażające. Zwłaszcza że ta statystyka, niekiedy sięgająca nawet pięciuset osób, utrzymywała się dłuższy czas.

Podobno człowiek do wszystkiego może się przyzwyczaić.

– Jakiś czas temu, podczas lektury książki o okupacji warszawskiej, uderzyło mnie, że kiedy jedni ludzie trafiali na łapankę, inni brali ślub. Czasami działo się to w tej samej dzielnicy. W każdej sytuacji po prostu trzeba żyć. Czy to życie jest wtedy normalne? A jakie jest to normalne. Co jest tego wykładnią?

Krzysiu, to są najtrudniejsze pytania.

– Jeżeli nie będziemy ich stawiać, nie znajdziemy na nie odpowiedzi.

Przeszedłeś COVID-19?

– Tak. Nie wylądowałem w szpitalu, a było to jeszcze przed szczepieniami, ale musiałem trochę powalczyć.

Wielu z naszych znajomych i przyjaciół tę walkę przegrało.

– Zdarzyło się, że byłem na czterech pogrzebach w ciągu miesiąca. Dlatego, jak słyszę: „Gdzie jest ten wirus?”, to proponuję wizytę na cmentarzu. Tam wszystko widać po napisach na nagrobkach.

Mówisz, że odsunąłeś się na bezpieczną odległość.

– Tak, przez wiele miesięcy starałem się nie uczestniczyć w dużych spotkaniach, wciąż unikam tłumów. Mam wśród znajomych wiele osób, które zakażenie przeszły bardzo ciężko. Na początku roku pożegnałem koleżankę, która nie zgodziła się na podłączenie do respiratora, bo obawiała się o płuca.

Wstrząsające są relacje ludzi, którzy zmienili zdanie.

– Kolega był w grupie tych najbardziej na nie. Zadzwoniłem do niego, w słuchawce głos słaby, niepodobny do niego. Przyznał, że trafił do szpitala, ledwo przeszedł, padło na nerki. „Wiesz – powiedział – gdybym wiedział, to bym się zaszczepił”. Bo wcześniej, widocznie, nie wiedział.

A pandemia z fotograficznego punktu widzenia?

– Czy zadziałała na mnie inspirująco? Nie. Mam trochę zdjęć z nietypowości tego czasu, na przykład z matur w maseczkach, ale to wszystko. Zastanawiałem się, co z pandemii pozostanie. Nie wiem, czy cokolwiek poza bilansem strat i poczuciem, że coś okazało się silniejsze od ludzkiego instynktu przetrwania.

W sensie filozoficznym, COVID-19 nas sfotografował.

– Co masz na myśli?

Pandemia zrobiła nam zdjęcie grupowe, na którym zobaczyliśmy, jacy jesteśmy tu i teraz. Nie jest to obrazek pozytywny, daleko nam do doskonałości. Powinniśmy z tego wyciągnąć konkretne wnioski.

– Znam wiele osób, które pandemia zainteresowała wyłącznie w kontekście spowolnienia procesów zarobkowych. Znam też inne osoby, które wzbogaciły się na walce innych o zdrowie i życie. Życie.

Wszystko to widać na tym zdjęciu, ale trudno mieć pretensje do kogoś, kto wykorzystał dobrą koniunkturę.

– Trwałą wartością okazała się tylko nauka. Ale szkoda, że dopiero z nożem na gardle sięgamy po wyniki badań. Nad tymi najważniejszymi dla ludzkości naukowcy siedzieli dziesiątki lat. Czasami nawet nagroda Nobla to za mały symbol wdzięczności. Zwłaszcza, gdy tyle ludzi w to nie wierzy.

Jak wypadasz na zdjęciach?

– Chyba dość naturalnie. Jestem taki sam, jak w życiu.

Czyli uśmiechnięty.

– Raz uśmiechnięty, raz poważny. Zależy od kontekstu.

Mogę zrobić ci zdjęcie?

– Możesz, ale jeżeli ma być ilustracją do rozmowy, powinniśmy być na nim razem.

E, tam. Jestem tu gościnnie.

– Porozmawiam z Mariuszem Królem, który zaprojektuje album, niech wybierze odpowiednie.

Chyba to wszystko.

– Nie nadaję się do tego, ale nie było tak źle (uśmiech).

Co jest dla ciebie teraz najważniejsze?

– Spokój.

Jak myślisz, co dalej?

– To zawsze najgorsze pytanie.

Jakie masz plany na najbliższe lata?

– Życ – to najważniejsze (uśmiech).





**ZESPÓŁ SZKÓŁ
ELEKTRONICZNO-
ELEKTRYCZNYCH
im. R. TRAUGUTTA
W KOSZALINIE**

← fot. 360 | str. 246

Pochód pierwszomajowy,
ul. Zwycięstwa
lata 80. XX w.



fot. 361 | str. 247 →

Ulica Zwycięstwa
lata 2000



← fot. 362 | str. 248

Obchody 10-lecia
Teatru Propozycji „Dialog”
lata 70. XX w.

fot. 365 | str. 249 →

Uroczystość 50-lecia
koszalińskiego „elektronika”,
aula Politechniki Koszalińskiej
2016 r.



← fot. 363 | str. 248

40-lecie koszalińskiego
„elektronika”
2006 r.

↑ fot. 364 | str. 248

Wmurowanie aktu erekcyjnego
pod budowę nowego budynku
Radia Koszalin
lata 90. XX w.







↑ fot. 366 | str. 250

Tydzień Kultury Studenckiej,
przed ratuszem
lata 90. XX w.

fot. 367 | str. 251 →

Tydzień Kultury Studenckiej,
przed ratuszem
lata 90. XX w.





← fot. 368 | str. 252

Tydzień Kultury Studenckiej,
wystawa na Rynku Staromiejskim
lata 90. XX w.



↑ fot. 369 | str. 252

Festiwal „Młodzi i Film”,
pokaz tańca towarzyskiego
na spotkaniu w Komitecie Wojewódzkim PZPR
lata 80. XX w.



↑ fot. 370 | str. 253

Uroczystość pod pomnikiem
„Płonące Ptaki” Władysława Hasióra
lata 80. XX w.



← fot. 371 | str. 254

Reklama na murze
aresztu śledczego
2005 r.



↑ fot. 372 | str. 254

Peron na dworcu PKP
lata 90. XX w.



fot. 373 | str. 255 →

Widownia
koszalińskiego
amfiteatru
lata 80. XX w.



↑ fot. 375 | str. 256

Występ zespołu harcerskiego
w amfiteatrze
1982 r.

← fot. 374 | str. 256

Występ przedszkolaków
lata 80. XX w.



↑ fot. 376 | str. 257

Przedstawienie dla dzieci,
Bałtycki Teatr Dramatyczny
lata 90. XX w.



↑ fot. 377 | str. 257

Stadion Gwardii Koszalin
lata 90. XX w.



← fot. 378 | str. 258

Szkolne studio
radiowo-telewizyjne,
Zespół Szkół
Elektroniczno-Elektrycznych
1983 r.

fot. 380 | str. 259 →

Procesja Bożego Ciała
przed pomnikiem Jana Pawła II
2000 r.

↓ fot. 379 | str. 259

Procesja Bożego Ciała,
ul. Młyńska
2000 r.





← fot. 381 | str. 260

Festiwal Chórów Polonijnych,
uroczystość pod Pomnikiem
„Więzi Polonii Zagranicznej
z Macierzą”
lata 80. XX w.



↑ fot. 382 | str. 261

Festiwal „Modzi i Film”,
jury młodzieżowe
1983 r.



↑ fot. 383 | str. 261

Inauguracja Festiwalu „Młodzi i Film”
1979 r.



↑ fot. 385 | str. 262

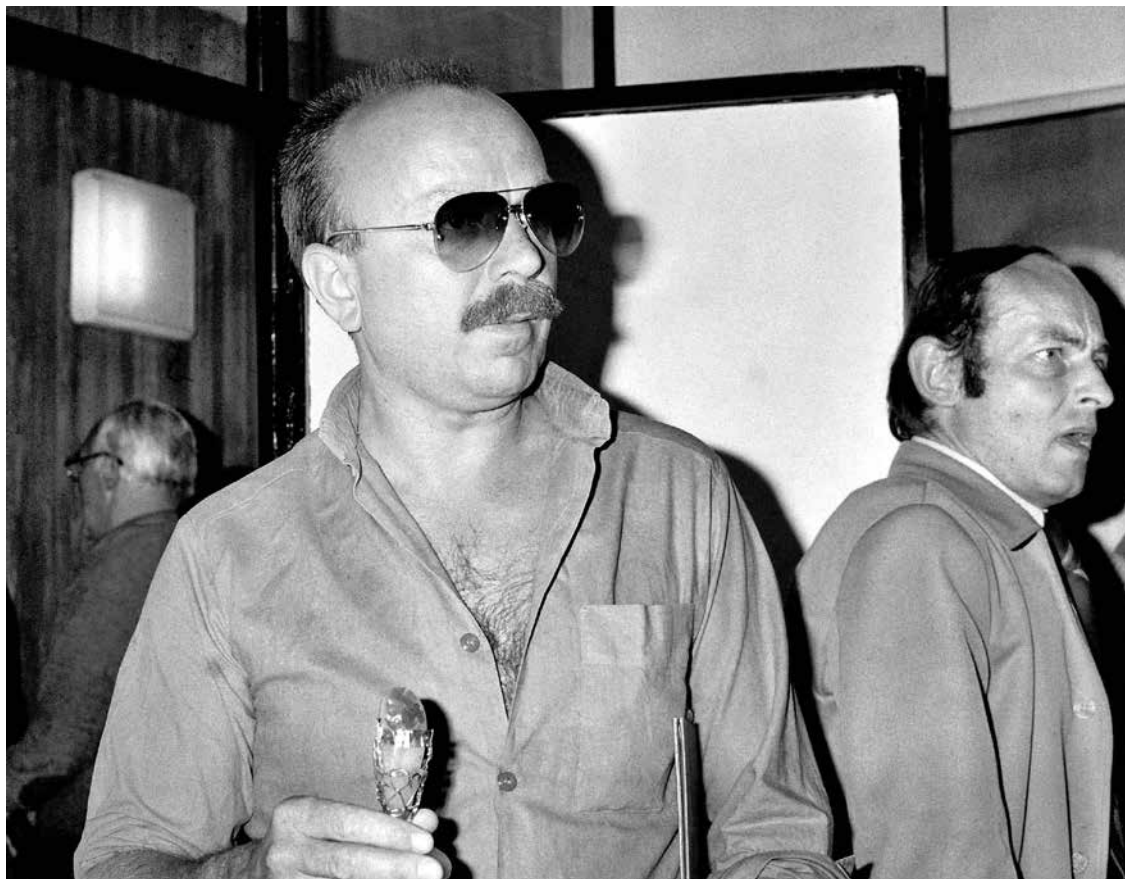
Festiwal „Młodzi i Film”,
spotkanie z Ireną Karel
i Jerzym Stuhrem
1978 r.

← fot. 384 | str. 262

Festiwal „Młodzi i Film”,
spotkanie z Jerzym Janeczkiem
1978 r.

fot. 387 | str. 263 →

Festiwal „Młodzi i Film”,
sala kina „Kryterium”.
lata 80. XX w.



↑ fot. 386 | str. 263

Festiwal „Modzi i Film”,
aktor Franciszek Trzeciak z nagrodą „Jantar”
1982 r.



fot. 388 | str. 263 →

Festiwal „Modzi i Film”,
widownia w amfiteatrze
lata 80. XX w.



← fot. 389 | str. 264

Festiwal „Młodzi i Film”,
spotkanie ze Zbigniewem Buczkowskim
1978 r.

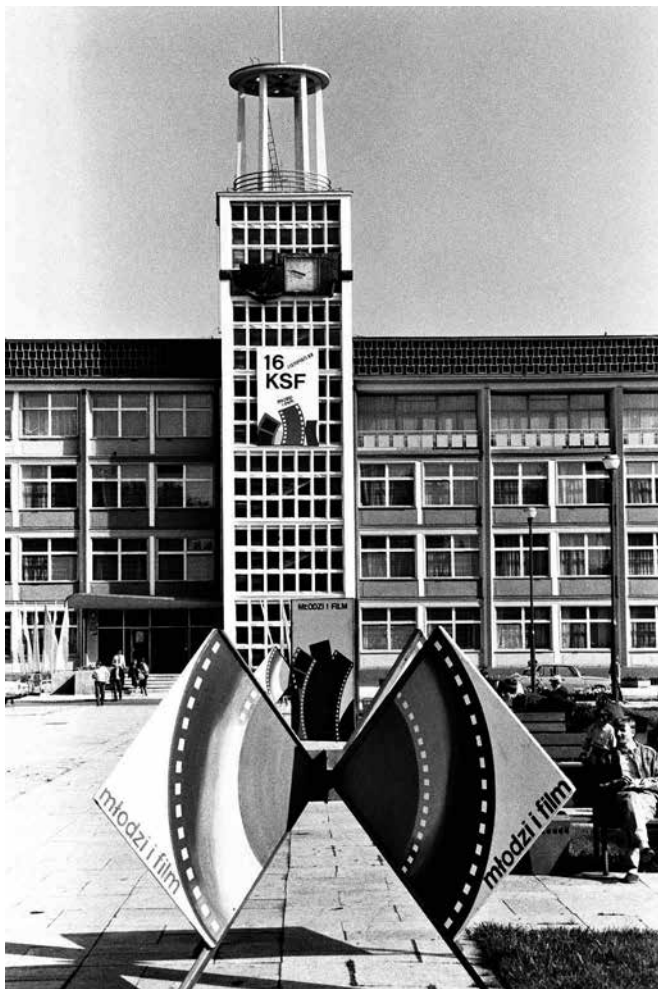
↓ fot. 390 | str. 264

Festiwal „Młodzi i Film”,
na widowni Maria i Marek Probosz
lata 70. XX w.



fot. 391 | str. 265 →
Festiwal „Młodzi i Film”,
seminarium dla nauczycieli
w Klubie Międzynarodowej
Prasy i Książki (EMPiK)
lata 80. XX w.





↑ fot. 392 | str. 266

Festiwal „Młodzi i Film” przed ratuszem
1988 r.



↑ fot. 393 | str. 266

Festiwal „Młodzi i Film”,
Spotkanie z Adrianną Biedrzyńską
1987 r.

fot. 395 | str. 267 →

Festiwal „Młodzi i Film”,
konferencja prasowa
lata 90. XX w.



↑ fot. 394 | str. 267

Festiwal „Młodzi i Film”,
spotkanie z Wojciechem Malajkatem
1987 r.

fot. 396 | str. 267 →

Festiwal „Młodzi i Film”,
dyskusja „Szczerość za szczerość”
z Wojciechem Jaruzelskim
1988 r.





↓ fot. 398 | str. 268

Festiwal „Młodzi i Film”,
dyskusja „Szczerość za szczerość”
z Wojciechem Jaruzelskim
1988 r.

↑ fot. 397 | str. 268

Festiwal „Młodzi i Film”,
widownia amfiteatru
lata 80. XX w.



fot. 400 | str. 269 →

Nagroda „Jantar”



↑ fot. 399 | str. 269

Festiwal „Młodzi i Film”,
Eugeniusz Żuber wręcza nagrodę
„Jantara” Magdalenie Łazarkiewicz
1986 r.



fot. 401 | str. 269 →

Nagroda „Jantar”



← fot. 402 | str. 270

Festiwal „Młodzi i Film”
lata 80. XX w.



↑ fot. 404 | str. 270

Festiwal „Młodzi i Film”,
wywiad z twórcą przeprowadza red. Bogdan Żołątk
1986 r.



← fot. 403 | str. 270

Festiwal „Młodzi i Film”,
ul. Zwycięstwa
1987 r.



↑ fot. 405 | str. 271

Festiwal „Młodzi i Film”,
ul. Grunwaldzka
1999 r.



↑ fot. 406 | str. 271

Festiwal „Młodzi i Film”,
przed kinem „Adria”
1999 r.



← fot. 407 | str. 272

Festiwal Chórów Polonijnych,
koncert w Wojewódzkim
Domu Kultury
1979 r.

fot. 408 | str. 273 →

Festiwal Chórów Polonijnych,
koncert w amfiteatrze
1979 r.





← fot. 409 | str. 274

Festiwal Chórów Polonijnych,
spotkanie z młodzieżą
1979 r.



↑ fot. 410 | str. 275

Festiwal Chórów Polonijnych,
występ kapeli przed ratuszem
1979 r.



↑ fot. 411 | str. 275

Festiwal Chórów Polonijnych,
występ w amfiteatrze
1979 r.



↑ fot. 413 | str. 276

Festiwal Chórów Polonijnych,
widownia amfiteatru
1983 r.

← fot. 412 | str. 276

Festiwal Chórów Polonijnych,
twórca ludowy
1979 r.

fot. 414 | str. 277 →

Festiwal Chórów Polonijnych,
koncert finałowy w amfiteatrze
1979 r.







Fot. Izabela Rogowska



Piotr Pawłowski i Krzysztof Sokołów,
otwarcie wystawy na Rynku Staromiejskim
1 lipca 2022 r.

Krzysztof Sokołów

Fotograf, fotoreporter, dokumentalista. Zadebiutował w 1970 r. Przez wiele lat związany z Wojewódzkim Domem Kultury w Koszalinie. Od zakończenia szkoły średniej do emerytury związany z koszalińskim „elektronikiem”. Współpracował z kilkunastoma gazetami, najdłużej z „Głosem Koszalińskim”. Autor dokumentacji kilkuset wydarzeń kulturalnych, zdjęć do różnych wydawnictw i albumu „Koszalin”.

Piotr Pawłowski

Dziennikarz, publicysta, wydawca. Zadebiutował w 1990 r. Autor 10 książek. Pracownik Politechniki Koszalińskiej. Aktywista Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Prowadzi programy publicystyczne w koszalińskiej telewizji „Max”. Dyrektor programowy Folk Film Festiwal w Sianowie. Przewodniczący kolegium redakcyjnego „Almanachu Kultury Koszalińskiej”.

PODZIĘKOWANIA

Krzysztof Sokołów:

Grażynie, Katarzynie Królczyk, Mariuszowi Rodziewiczowi, tym, którym nie zdążyłem podziękować: Jurkowi Łaryonowiczowi i Leszkowi Siwkowskiemu, wielu osobom, które stawały przez obiektywami moich aparatów, współpracownikom z instytucji i gazet oraz koleżankom i kolegom fotografom, z którymi przepracowałem ponad 40 lat.

Piotr Pawłowski:

Dorocie, Katarzynie Królczyk, Wiesławowi Świsiowi i hotelowi Gromada Koszalin, Pawłowi Spisakowi i firmie Amado, wszystkim naszym wspólnym starym mistrzom.